RODZINA i DZIECKO

DOM i SZKOŁA

N. 9

ROK III LISTOPAD 1938

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

TREŚC:

NR 9 LISTOPAD 1938 ROK III

RODZINA I DZIECKO

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

Maria Znatowicz Szczepańska.

POD JEDNYM DACHEM.

Po dniach trwogi i powszechnej gotowości do dochodzenia praw własnych z bronią w ręku, po dniach upojenia i szczęścia z powodu powrotu Śląska Zaolzańskiego do Macierzy, przeżywamy teraz czasy zapoznawania się z dobrem, któreśmy odzyskali.

Co za bogactwa! 800 klm² powierzchni, 50 tysięcy ha ziemi rolniczej, 22 tys. ha lasów, wysokogatunkowy węgiel koksujący Zagł. Karwińskiego, 2794 zakłady przemysłowe, wartości strategiczne, lecznicze, turystyczne nowych terenów... Można doprawdy doświadczyć pewnego zawrotu głowy na widok tego dobra wracającego do nas po wiekach z nieprawnie dzierżących je dłoni. A jednak nie wymieniliśmy jeszcze wśród tych bogactw najważniejszego: ludność Polski powiększyła się z odzyskaniem dwu powiatów zaolzańskich o 200 do 300 tysięcy głów — oto największe bogactwo. Do 12 milionów polskich dzieci przybyło jeszcze około 30 tysięcy nowych małych obywateli — oto tego bogactwa treść najistotniejsza.

Nie wystarczy jednak ucieszyć się i poprzestać na serdecznościach. Trzeba się do tych dzieci i ich rodziców zbliżyć, boć razem już teraz troszczyć się będziemy o przyszłego w Polsce człowieka.

Te dzieci tęskniły do Polski. Ich ojcowie krwią własną stwierdzali przed 20 laty, że są Polakami. Ich matki kołysały je do snu polską piosenką, uczyły polskiego pacierza i polskiej śpiewnej mowy, posyłały je do polskiej szkoły, wiedząc, że przez to narażone będą na prześladowanie. Ileż skarbów wytrwałości, ile elementów mocy ducha, ile podniety do czynu przybędzie nam, którzyśmy już do Ojczyzny przywykli i czym jest szczęście jej posiadania zapominamy, z tym żywiołem tak w boju o Polskę doświadczonym. I co za radość, że możemy braci naszych przyjąć w Polsce silnej, ugruntowanej!

Dzieci zaolzańskie widziały wspaniałe wyekwipowanie naszego wojska, patrzą na sprawność, z jaką odbywa się administracyjne przejmowanie kraju, czują, że dawnego ładu w niczym nie potrzebują żałować, że idą do Polski, nie tylko wyśnionej, ale i potężnej i zorganizowanej. To

olbrzymi atut z naszej strony, to dar dla nowych obywateli naprawdę królewski.

Ale nie tylko kapitał wypróbowanego patriotyzmu przynoszą nam rodziny nowe ze Śląska. Wnoszą one do życia polskiego potężny zastrzyk żywiołu ludowego, pełnego młodych, niezużytych sił społecznych i wielu nieruszonych jeszcze możliwości. Śląsk to rezerwuar Polski roboczej, pamiętajmy o tym. To wielki zapas niewyżytej jeszcze inteligencji. Wobec dość powszechnego mniemania, także i wśród nauczycieli — że dzieci śląskie odróżniają się od innych ociężałością umysłową i mniej są zdolne, oddawna już prowadził Instytut Pedagogiczny w Katowicach badania inteligencji dzieci śląskich. Jako wynik ostateczny tych badań okazało się, że w przeważającej ilości wypadków środowisko, w jakim żyją dzieci śląskie, jest za ubogie, aby wyzwolić i urobić wszystkie ich siły umysłowe. Wysoka stopa życiowa robotnika śląskiego nic tu nie daje, naturalne zasoby inteligencji pozostają na martwym punkcie wobec braku tradycji kulturalnej i niedostatecznego nasycenia intelektualnego w otoczeniu. Gdy dzieci śląskie będą się wychowywały w środowisku wyższym niż obecnie, znikną powody ich rzekomej ociężałości umysłowej.

I oto zadanie chwili. Musimy wytężyć wszystkie siły, rozwinąć jak najbardziej ideową pracę w szkolnictwie i na polu wychowania rodzinnego. Tak się właśnie złożyło, że nazajutrz po historycznej dacie 1-go października rozpoczął w Warszawie obrady I Kongres Dziecka w Polsce. Olbrzymie napięcie uczucia w owej chwili nadało tym obradom piętno specjalnej ważności i ukazało w szczególnie silnym świetle, jaką Polska ma być, jeśli chce wypełnić swe przeznaczenie dziejowe. I cóż wysunął Kongres jako swe postulaty naczelne? „Dziecko jest przyszłością Polski, a dobra rodzina — źródłem moralnego wychowania narodu". Dobra rodzina... Ileż w tym określeniu mieści się pracy do wypełnienia, pracy duchowej przede wszystkim, ile musimy jeszcze w sobie dokonać, przetworzyć, żeby na tej drodze, jedynie właściwej, osiągnąć dla dziecka w Polsce należne mu szczęście, a przez dziecko — potęgę narodu i państwa. Nowi nasi młodzi obywatele, muszą w Polsce znaleźć to, czego im pod panowaniem obcych brakowało — polskie w domu i szkole, w domu ze szkołą razem wychowanie.

A przecie i to jeszcze wziąć trzeba pod uwagę: oni, najmilsi Cieszyniacy, wrócili do nas, ale my, z innych dzielnic pójdziemy przecie do nich, do ich tak bogato w skarby gospodarcze udarowanej ziemi. Przez przyłączenie dwu powiatów wybitnie przemysłowy charakter Śląska wzmocnił się jeszcze i uwydatnił. Tam a nie gdzieindziej znajduje się kolebka tego stanu trzeciego, który się w Polsce tworzy, później i oporniej niż w innych krajach świata. Wniosek z tego prosty: musimy młodzież naszą kierować usilniej niż dotąd na drogi rzemiosła, handlu i przemysłu, wpajając w nią przekonanie, że tylko silna gospodarczo Polska

ostać się może w coraz bardziej skomplikowanych warunkach życia współczesnego.

Ale może wraz z powiększeniem terenu przybył nam kłopot, gdzie uczyć o 20 blisko tysięcy powiększoną rzeszę naszych dzieci w wieku szkolnym? Nic podobnego! We wszystkich prawie miejscowościach „na cieszyńskim" czekają wspaniałe szkoły-pałace, pobudowane przez Czechów w celu wynaradawiania polskich dzieci. Cóż to za lekcja historii przeczytać sobie numer stale do niedawna zresztą konfiskowanego Dziennika Polskiego w Cieszynie z dn. 24 sierpnia b. r. a przypomnieć treść transmisji P. R. z 20 października r. b.: tam nawoływanie by dzieci polskie zapisywały się do świeżo właśnie otwartej paralelki polskiej przy I klasie gimnazjum czeskiego w Cieszynie, tu — uroczystość otwarcia tegoż gimnazjum już w Polsce! Na przestrzeni niespełna dwu miesięcy czasu!

Brakuje tym szkołom w Jabłonkowie, Boguminie, Orłowej, Frydku, Frysztacie sprzętu i pomocy szkolnych. Ale to troska jednaka w całej Polsce. I wysiłek niedawno ukończonego właśnie Tygodnia Budowy Szkół Powszechnych iść teraz będzie w kierunku raczej zaopatrzenia niż budowy gmachów szkolnych. Zresztą dzieci Zaolzańskie są od chwili powrotu do Polski zasypane darami przez swoich rówieśników, swoich nowych braci: Od Lidy po Siemianowice, od Grodna po Lwów, zwołują się dzieci szkolne, kto więcej przyśle Cieszyniakom na zeszyty i książki.

Doprawdy, na święto 11 listopada i 20-stą rocznicę Niepodległości piękniejszych darów nie mogliśmy otrzymać. Baczmy, byśmy ich nie zmarnowali. Pod wspólnym własnym dachem wzrasta nasza rodzina. Niechże rosną z nią razem i siły nasze, i radości, i prace, i — obowiązki.

Juliusz Adamski.

USPOŁECZNIANIE MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

(Dokończenie).

„Stosunek (twórczy do Państwa) ma się ujawniać... tak w życiu jednostkowym jak i s p o ł e c z n y m..." (Podstawy ideowe szkoły ogólnokształcącej, r. 1932). Treść cała skondensowana mieści się w czterech terminach:

W przyzwyczajeniu do k a r n o ś c i i o f i a r n o ś c i, rozwijaniu u c z u ć s p o ł e c z n y c h, t w ó r c z e j p r a c y d l a P a ń s t w a.

Postulaty te są możliwe do realizowania na terenie szkolnym w kolejnym następstwie:

Najpierw musi dziecko przez przymus zewnętrzny stosowany przez nauczyciela i rodziców nabyć pewne nawyki, zautomatyzować je w postępowaniu swoim, przyzwyczaić się do wykonywania poleceń i stosować się do

zakazów. Karność zewnętrzną winno dziecko wynieść ze szkoły powszechnej. W średniej szkole ma sięgnąć w głąb, uświadamiając sobie cele karności w zbiorowym działaniu, konieczność podporządkowania się wyższej woli, czyli stać się wewnętrznie karne. Na tej podstawie można pomyśleć o samorządzie szkolnym i pracy w organizacjach młodzieżowych.

Dalszym etapem uspołecznienia będzie dążność wychowawców w kierunku stopniowego rozluźniania wrodzonego młodzieży egocentryzmu, przemiany egoizmu na altruizm, budzenie zainteresowania się innymi jednostkami grupy, całym zespołem, obejmowanie myślą i sercem coraz szerszych kręgów ludzkich, całej młodzieży, społeczeństwa, narodu, budzenie solidaryzmu społecznego. Przeniesienie punktu ciężkości swoich zainteresowań z siebie na bliźnich, rodzinę, naród pociągnie za sobą wytworzenie się uczuć społecznych, a jako reakcję — ofiarną i bezinteresowaną pracę, pomoc na rzecz ogółu. Gdy ten stopień uspołecznienia zostanie osiągnięty, można na stopniach licealnych pomyśleć o ostatnim i najtrudniejszym etapie, tj. o twórczym działaniu, o samodzielnie podjętych akcjach zbiorowych, przynoszących realną korzyść np. gminie klasowej, zakładowi, instytucji humanitarnej, szkółce wiejskiej, miastu, a tym samym Państwu.

e) Podstawowe znaczenie ma przede wszystkim wyrobienie karności, bo niekarność wiedzie do anarchii, a w takiej atmosferze nie uda się żadna, choćby najskromniejsza praca społeczna.

Pojęcie karności jest nieodłączne od pojęcia szkoły, bez względu na jej rodzaj. Karność na terenie szkolnym ma zawsze charakter społeczny, polega bowiem na koniecznym podporządkowaniu się jednostki ogólnemu ładowi, wynikającemu z życia i pracy zbiorowej w grupie szkolnej oraz z ustalonego programu i planu prac. Owa karność szkolna staje się środkiem wychowania społecznego, zaprawą, przysposobieniem do współżycia społecznego.

W dawnej szkole polegała karność na subordynacji, w dzisiejszej tkwi w koordynacji woli z nakazami ogólno-społecznymi. Karność zewnętrzna, niewystarczająca pod względem pedagogicznym i społecznym, musi przemienić się w wewnętrzną, tj. zgodną z osobowością człowieka i zależną od jego woli. Istota jej polega na dobrowolnie i świadomie przyjętych zasadach postępowania, które uwzględniają dobro ogólne. Taka karność będzie trwała, moralnie wyższa i pedagogicznie doskonalsza od karności zewnętrznej. Najwłaściwszą metodą stosowania owej „dobrowolności" będzie wyłącznie samorząd uczniowski, czyli życie młodzieży zorganizowanej w grupie. Samorząd może być jednak stosowany dopiero u dzieci wyżej dziesięciu lat, tj. na takim stopniu rozwoju, na którym istnieje już „świadomość społeczna".

Sceptycy twierdzą, że samorząd uczniowski w ramach szkoły, cenny wprawdzie, zawsze jednak jako sztuczny (narzucony czy pod-

sunięty młodzieży przez wychowawcę i kontrolowany przez niego) — jest tylko częściowym środkiem wychowawczym. Naprawdę bowiem może człowieka urabiać tylko rzeczywiste życie.

Z drugiej strony próby pozostawienia młodzieży samej sobie skończyły się niepowodzeniami. Młodzież bowiem jeszcze nie dorosła do życia samorządowego w całej pełni i nie jest zdolna zadość uczynić wymogom wychowawczym.

Stąd wniosek, że wychowanie stanowi syntezę s w o b o d y i p r z y m u s u (czyli kierownictwa), że wymaga obok metody pozytywnej również negatywnej. Cała sztuka prowadzenia samorządu szkolnego polega na umiarze w stosowaniu wolności i przymusu, na zręcznej i subtelnej ingerencji ze strony wychowawcy. (Dr. Mirski: Zagadnienie karności w wychowaniu).

f) Jak więc wybrnąć z tego błędnego koła wobec faktu, że czynnik społeczny z konieczności tkwi w dzisiejszej szkole, że musi być uwzględniony w planie wychowawczym, że może być w praktyce stosowany, chociaż praktyka kilkuletnia wykazała ujemne rezultaty, jak to wynika z opinii nauczycieli i pesymistycznych nieraz refleksji ze strony sfer rodzicielskich?

Rozwiązanie dylematu znajdziemy szukając błędu, który tkwi zapewne w samej formie, w zasięgu akcji uspołeczniania, w granicach aktywności szkoły, w jej celach, środkach i metodach realizacyjnych.

Wielu widzi błędy i przyczyny niepowodzeń organizacji samorządowej na terenie szkolnym:

1) w niewłaściwym naśladowaniu organizacji państwowych z troistością władz (ustawod., wykonawcz. i sądowniczej), w wyprowadzaniu z form skomplikowanych dojrzałego społeczeństwa formy samorządu młodzieży szkolnej. A wszakże Dewey wskazywał na prymitywy urządzeń społecznych, od których należy zacząć uspołecznianie.
2) w przeroście formy nad treścią, w nadmiarze biurokracji, godności, tytułów, w rozbudowanych statutach i regulaminach.
3) w rozbieżnych wysiłkach wychowawców, nie uzgodnionych między sobą, w braku harmonijnego współdziałania.
4) w nerwowym pośpiechu organizowania samorządu szkolnego „na rozkaz”, mimo że grupa klasowa nie dojrzała jeszcze do tej pracy społecznej.
5) w pośpiechu, w osiąganiu pozornych wyników pracy wychowawczej, nie przetrawionej należycie, nie przeżytej przez zespół klasowy.
6) w niestałości stosowania zabiegów wychowawczych przez opiekuna, który bezplanowo, od czasu do czasu, dla formy czy z obowiązku, inspiruje posunięcia młodzieży, nie dbając o to, aby jego zabiegi systematycznie stosowane, wytworzyły z biegiem czasu pewne nawyki społeczne.
7) w nieliczeniu się z warunkami lokalnymi, z atmosferą „grupy”, z zainteresowaniami, potrzebami, projektami zespołu klasowego.

W samej inicjatywie leży już pogrzebanie całej sprawy, gdy np. opiekun klasowy, fachowy geograf, powiada: „Ma być kółko geograficzne” i ono istotnie w przeciągu tygodnia powstaje na „życzenie pana profesora”, jakkolwiek ucz-

niowie woleliby stworzyć u siebie kółko mandolinistów, albo pingpongowe. Nie chodzi tu bowiem o zdobycie rekordowej znajomości czy wprawy w pewnym kierunku, lecz o wytworzenie społecznych wartości: sumienności, obowiązkowości, posłuchu, poczucia zbiorowej odpowiedzialności itp.

8) w braku znajomości psychologii życia zbiorowego ze strony nauczycieli, braku zdolności organizowania jednolitego ducha, formowania oblicza klasowego, spójni duchowej, solidaryzmu społecznego.

9) w pieniactwie sądów koleżeńskich, które deprawują, wytwarzają maniactwo w wyszukiwaniu zła, przykrości, występków oraz sądzenia i zasądzania swoich kolegów. Metody te nie dążą do wyrobienia uczuć etycznych, lecz rozbijają ducha zespołowego na partie, rodzą zawiść, intrygi i donosicielstwo zgubne.

10) w braku wyrobienia karności wewnętrznej, na której dopiero oprzeć się może próba zorganizowania jakiejkolwiek pracy zespołowej.

Świadomość społeczna grupy jest już wysokim szczeblem rozwoju duszy zbiorowej. Ów zmysł społeczny nie zjawia się nagle w zespole. Po całym szeregu przeżyć, konfliktów, wysiłków o swoje istnienie, powoli, stopniowo budzi się do życia. I w rzeczywistości życie społeczne wykłuwa się powoli, wymaga ono lat przygotowania dla uświadomienia sobie różnych form współżycia i stosunków wzajemnych.

Podobnie w ramach szkolnych organizacji narzucanie form społecznych jednostkom nieprzygotowanym zniechęca i dezorientuje. Nadto pomija się tu moment usamodzielnienia, tak potrzebny do wyrobienia aktywizmu społecznego. W związku z tym opiekun klasowy musi przyjąć do wiadomości twórcze pomysły młodzieży, projekty, chociażby nawet były nie bardzo szczęśliwe i trafne. Musi wyczuć nastroje, sprzyjające powstaniu samorządu. Nie jest też wskazane narzucanie z góry jakiejś uniwersalnej formy organizacyjnej, bo każda klasa ma swoje specyficzne wewnętrzne życie.

W pomyślnych jednak warunkach, przy wyrobionej karności zespołowej,młodzież sama upomni się o stworzenie samorządu klasowego i będzie pracowała wydatnie pod umiejętnym a dyskretnym kierownictwem opiekuna klasowego. Wychowawca musi jednak budzić w zespole coraz to inne zainteresowania, aby samorząd nie skostniał w formach, nie wywołał w młodzieży nudy z powodu jednostajności zajęć. Wskazane byłoby uważać samorząd klasowy na każdym stopniu nauki za punkt wyjścia dla dalszych zabiegów wychowawczych. Zależnie od stopnia rozwoju duchowego powinna rozszerzać się i pogłębiać działalność samorządu uczniowskiego, winno wzrastać uświadomienie dokonywanych czynności, jako aktów dla dobra ogólnego, posłuch bezwzględny, odpowiedzialność zbiorowa obok indywidualnej, powinno się coraz silniej budzić sumienie grupy. Opiekun klasowy musi czuwać nad tym, aby drobne, wykonalne, przystosowane do sił młodzieży prace społeczne wykonywał zespół, a nie kilka jednostek przy zupełnej bezczynności mas. Należy więc podciągnąć i wciągnąć aspołeczne jednostki do współdziałania, chociażby wyniki pra-

cy miały być początkowo znikome. Ważniejszą bowiem będzie rzeczą, gdy uzyskamy niższy stopień uspołecznienia z b i o r o w e g o, niż gdybyśmy wychowali kilku społeczników, a reszta zespołu nie wyszła ze swojej bierności, jak dotąd się działo.

Można pomyśleć o organizacjach międzyszkolnych czy międzyklasowych, o ile znajdą odpowiednie warunki rozwojowe: cel określony, zainteresowanie młodzieży, inicjatywę z jej strony, odpowiedniego kierownika zespołu. Nadadzą się do tego kl. III i IV gimn. i klasy licealne.

O jednym należy pamiętać, aby na terenie zakładu istniały raczej dwie czy trzy organizacje młodzieżowe, wykazujące znaczną żywotność, zapał, zrozumienie celu, dające efekt pracy zespołowej, niż żeby miało ich istnieć jak dotąd dwadzieścia, o suchotniczej, bezużytecznej wegetacji.

Istnieją po szkołach wszędzie organizacje wyższej użyteczności, (LOPP, LMK, PCK itp.) ograniczające się w y ł ą c z n i e do datków miesięcznych. Należy te datki w dalszym ciągu utrzymać jako zdrowy objaw o f i a r n o ś c i na cele obrony Państwa, ale nie traktujmy ich jako organizacje uspołeczniające, jeśli poza składkami nie wykazują żadnej aktywności. Jeśli natomiast znajdzie się w zakładzie grupa młodzieży zapalona do lotnictwa, czy marynarki itp., należy pójść młodzieży z pomocą w zorganizowaniu kółka i otoczyć je troskliwą opieką. Dobry przykład pociągnie chętnych do uczciwej pracy społecznej, odpowiedzialnej i pożytecznej dla Państwa.

Z wywodów powyższych wynika, że należy ze z n a c z n ą w s t r z e m i ę ź l i w o ś c i ą wskrzeszać organizacje międzyklasowe i międzyszkolne, w warunkach gwarantujących powodzenie tej akcji.

Zredukujmy o sto i dwieście procent chorobliwy pęd do tworzenia organizacji młodzieżowych, obliczonych na tani efekt a deprawujących naszych wychowanków pozorną pracą społeczną!

Nie żądajmy od szkoły rzeczy przerastających jej możliwości!

Zestawmy na jednym poziomie cele naukowe obok wychowawczych: szkoła średnia i licealna nie produkują skończonych uczonych, lecz dają młodzieży jedynie pewne niezbędne ogólne wykształcenie jako p r z y g o t o w a n i e d o d a l s z y c h s t u d i ó w, lub zawodowej pracy.

Podobnie w pracy wychowawczej nie kuśmy się o przetworzenie naszej młodzieży na skończonych społeczników, na uspołecznione jednostki, bo to przekracza nasze siły. Starajmy się natomiast dać tylko pewne, solidne, osiągalne w szkole p r z y g o t o w a n i e do przyszłego życia społecznego! Dbajmy o u s p o ł e c z n i a n i e a nie o u s p o ł e c z n i e n i e.

Będzie to z pożytkiem dla młodzieży i w intencji obowiązującego P r o g r a m u!

Krystyna Kuliczkowska.

KULTURA TOWARZYSKA A PRZEPISY „SAVOIR VIVRE'U".

(Na marginesie książki M. z Colonna Walewskich Wielopolskiej p.t. „Obyczaje towarzyskie").

„Między kształceniem moralnym a towarzyskim zachodzi ścisły związek" — pisze autorka „Obyczajów towarzyskich" i wydawać by się mogło, że rozumne to zdanie stanowić będzie myśl przewodnią książki, że nareszcie sprawa t.zw. „dobrego wychowana" doczeka się właściwego naświetlenia i rewizji.

Żyjemy w czasach niedosytu form towarzyskich i ich przerostu jednocześnie. Niedosytu — gdyż nowe warunki życia skłoniły ludzi do upraszczania wzajemnych stosunków w sposób indywidualny i dorywczy, do likwidowania przeżytków przy jednoczesnej niemożności wytworzenia innych norm, jednolitych, bezpośrednich i ułatwiających obcowanie. Przerostu — gdyż pewna grupa ludzi broni na ślepo, w obawie przed anarchizmem — form zakrzepłych już i martwych, przekazywanych tradycyjnie z pokolenia na pokolenie. Wobec powojennego „przewartościowania wartości" na tylu odcinkach życia, sprawa ta staje się palącą, lecz do rozwiązania niełatwą. Dla dzisiejszego, realistycznie nastawionego pokolenia nie wystarcza przeświadczenie, że „tak jest przyjęte" — musi ono mieć mocne oparcie w świadomości. że postępowanie takie jest proste i celowe, podobnie jak prosty i celowy jest nowoczesny, pozbawiony zbytecznych ornamentów mebel. Tworzenie form towarzyskich jest zjawiskiem, opierającym się mocniej na podstawie psychologicznej i socjologicznej, niż na tradycji. Każde pokolenie winno się zdobyć na rewizję form towarzyskich, polegającą na bezkompromisowym odłupywaniu martwych schematów, aż do punktu, w którym wyraz zewnętrzny prześwietla wewnętrzna sankcja.

I tutaj w odniesieniu do pracy p. Wielopolskiej spotyka nas zawód. Jest to po prostu jeszcze jeden kodeks „savoir vivre'u" i to kodeks przeznaczony w dużej mierze dla „wyższych sfer", o czym świadczy szereg szczegółów zupełnie już dziś nieobowiązujących w przeciętnym inteligenckim środowisku (np. ceremonialny i listowny sposób zapraszania gości, składania wizyt w rękawiczkach, zachowanie arystokratycznych tytułów, pewne drobiazgowe i zupełnie już nieprzestrzegane zasady w zachowaniu się przy stole i t. d.). Autorka daje do zrozumienia, że z przepisów tych będą mogli korzystać młodzi ludzie z rodziny rzemieślniczej lub wiejskiej „wyniesieni dzięki zdolnościom na wyżyny" oraz ci, których zapracowani rodzice nie mogli uzbroić w „rynsztunek salonowy"„ ułatwiający im życie, gdy wypłyną na „bystre wody stosunków politycznych i dyplomatycznych". Taki zbiór przepisów, mimo że niezdolny do całkowitego wypełnienia braków wychowawczych, byłby niewątpliwie bardzo użyteczny, ten jednak nie może spełnić żadnego z powyższych celów. Młody człowiek, który osiągnąwszy wykształcenie, nie umie się zachować w miejskim środowisku, nie odniósłby żadnej korzyści z tej skomplikowanej nauki dobrych manier, obowiązujących w towarzystwie, którego prawdopodobnie nigdy nie pozna. W jeszcze mniejszej mierze dziełko to może zastąpić młodzieży wskazówki rodzicielskie. Zawiera ono wiele uwag słusznych, tendencji zacnych (np. ustęp o gruboskórności, usprawiedliwonej rzekomą nerwowością, o wiedzy, która na wyższej uczelni winna znosić inne różnice i t. d.) lecz nie wolna jest od zasadniczego błędu wszystkich tego rodzaju książek — zmierza (może nie w zamierzeniach, lecz w wyniku) przede wszystkim do ucywilizowania człowieka, a nie podniesienia poziomu jego kultury. Decyduje tutaj postawa au-

torki, która uważa tradycyjną formę za punkt wyjścia. „W tak zwanych przepisach towarzyskich — przytaczam — następują z biegiem lat, pod naciskiem konieczności, wynalazków, nowych poglądów i t. p., bardzo małe odchylenia i zmiany".

Tego rodzaju traktowanie form towarzyskich jako pewnego stałego kanonu, ulegającego w miarę płynącego czasu niewielkim przesunięciom — jest odrywaniem zjawiska społecznego, jakim jest obcowanie z ludźmi — od jego konkretnego podłoża. Tradycja jest jednym z czynników, urabiającym nasze życie społeczne, podświadomie przekazujemy następnym pokoleniom jej cząstkę, dynamiczną ciągłość z przeszłością; sama tradycja jednak nie powinna być problemem — powoływanie się na nią, tłumaczenie życia obecnego normami minionego czasu jest konserwatyzmem, cofaniem się. Problemem, zagadnieniem winna być sprawa wychowania nie *w tradycyjnych przepisach „savoir vivre'u"*, lecz w *kulturze towarzyskiej*, harmonizującej z duchem współczesności. Reguły właściwego zachowania się są schematami, obowiązującymi w danym środowisku, które w innym okazują się niewystarczające lub nawet śmieszne — stąd te staromodne „faux pas'", te nagłe zacięcia się automatycznej maszynerii, jaką jest wyćwiczenie w „dobrych manierach".

Podejście do form towarzyskich od treści kulturalnej stwarza sytuację zupełnie inną. Człowiek kulturalny, choćby wychowany w zacieśnionym środowisku, łatwo wczuje się w formy obowiązujące w innym — dysponuje on kapitałem wewnętrznym, który stanowi pokrycie towarzyskiej formy. Nawet bezceremonialność jego nie będzie rażąca, gruboskórna, intuicja i subtelność podyktują mu najlepsze wyjście. Człowiek, który nie stawi się na umówione spotkanie bez zawiadomienia lub nie przeprosi za potrącenie w pośpiechu, człowiek, który mówi głośno w teatrze lub w większym towarzystwie rozmawia na tematy ściśle osobiste, wykazuje się *nie brakiem dobrych manier*, lecz po prostu *brakiem kultury*. Nawet te utarte ogólne grzechy naszego współżycia z ludźmi, jak złośliwe obmawianie bliźnich, niechętna wrogość wobec współtowarzyszy w tramwaju i pociągu, uliczne „gapiostwo" (moment słusznie podkreślany przez p. Wielopolską) — są przykładem nie przyjętych u nas zwyczajów, lecz dojmujących braków w naszej kulturze towarzyskiej i... duchowej.

Tutaj tkwi różnica między *kulturą towarzyską* o *tresurą* (o czym wspomina p. A. C. z Warszawy w nr. 7 „Rodziny i dziecka"). Pierwsza idzie w parze z przychylnością, życzliwością dla ludzi, druga jest narzuconym rygorem, spełnianym z przyzwyczajenia lub obowiązku. Dlatego też małe nietakty towarzyskie, popełniane z nieśmiałości, niewyrobienia lub pewnych słabostek charakteru mogą się przytrafić wartościowej i kulturalnej jednostce i nie powinny stanowić kryterium oceny danego człowieka; stokroć gorszy jest osobnik, który przyswoił sobie w zręczny sposób sztukę zewnętrznej ogłady, lecz nie posiada żadnego pokrycia w kulturze wewnętrznej i zdolny jest do popełniania — czasem w ten sam wytworny sposób — najniższych czynów.

Stąd wniosek, że z tzw. „dobrego wychowania" nie należy tworzyć odrębnego zagadnienia, lecz traktować je jako cząstkę wychowania w ogóle. Żaden podręcznik nie jest zdolny zastąpić młodzieży kultury towarzyskiej, jeśli nie uczynił tego dom i szkoła. Nie tutaj miejsce na precyzowanie odmiennej ich funkcji. Chciałam tylko zauważyć, iż mimo powierzchownego wglądu, jaki szkoła daje w życie zbiorowe wychowanków, odgrywa ona sama przez się ważną rolę w kształtowaniu ich kultury towarzyskiej. Jest to pierwsze środowisko społeczne, które — w pośród jednostek jemu równych — urabia młodocianego osobnika w duchu obowiązujących norm i tłumi bezproduktywny w rzeczach drobnych indywidualizm. Wskaźnikiem i ułatwieniem w tym życiu zbiorowym będzie dla

dziecka pewne już teraz kształtujące się *poczucie kulturalne*, płynące nie z nauki form, lecz z przykładu, z atmosfery rodzinnej. Nie będę tutaj przytaczała całego szeregu w różnych wersjach powtarzających się anegdotycznych scenek, których bohaterem jest przysłowiowe „enfant terrible", naiwna ofiara w szkole hipokryzji, jaką staje się niejednokrotnie środowisko rodzinne. Należy przyznać, że p. Wielopolska poruszyła wiele spośród tak zwanych bolączek: stosunek do służby, kłótnie między rodzicami, efekciarstwo wobec gości przy nieporządku na codzień itd. Dzieci są świadkiem kłopotów, jakie stosunki towarzystkie nastręczają starszym. Starsi wiedzą, że nie zawsze można manifestować swe uczucia, że bezkompromisowa szczerość jest nieraz najłatwiejszą, najbardziej egoistyczną a nawet krzywdzącą drogą, wiedzą, że pewne dyplomatyzowanie w stosunkach z ludźmi jest konieczne dla uniknięcia przykrości. Wnioski te są owocem długoletniego doświadczenia i, przyznajmy to, rezygnacji z młodzieńczych pragnień o powszechnej życzliwości i braterstwie między ludźmi. Niechaj przynajmniej młodzież zachowa tę wiarę, która odegra ważną rolę w kształtowaniu się jej psychiki. Dlatego też należy o ile możności odseparować dziecko od zawikłanych spraw towarzyskich świata starszych, stworzyć mu życie samodzielne i nie „tresować" w formach dobrego wychowania, co powoduje niejednokrotnie buntownicze wyłamywanie się z nich — lecz obdarzać *kulturalną atmosferą rodzinną*. Tylko w takiej atmosferze dziecko przynosi sobie podświadomie, bez przymusu, życzliwość dla ludzi, której przykład dają mu rodzice, „przesiąknie formami dobrego wychowania" (jak pisze p. A. C.) — a w przyszłości łatwo zbuduje na tym podkładzie każdy przyjęty w danym środowisku towarzyski schemat.

Chociaż na ogół wskazówki p. Wielopolskiej mijają się z celem, ma ona teoretyczną słuszność, pisząc: „Chodzi nam o to, aby młodzież zrozumiała, jak blisko zahacza *dobre wychowanie* o *dobry charakter*, jak każdy gest, ujęty w regułę towarzyską ma swój odpowiednik we wrodzonej ludziom delikatnym uprzejmości i grzeczności". Dodajmy, że ważniejsze jest bodaj, aby zrozumieli to rodzice. Na innym miejscu autorka przytacza zdanie (bodaj że Chesterfielda): „Grzeczność jest wyrażeniem względów, jakieśmy winni współludziom". I tutaj znowu natrafiamy na źródło życzliwości i sympatii, z którego wypływa formalna uprzejmość. Walka o tę najgłębiej pojętą życzliwość zarówno dla bliskich, jak dla obcych winna stać się najpierwszym obowiązkiem kulturalnego człowieka, gdyż wówczas tylko, a nie przez półśrodki i sztuczki, nowe pokolenie będzie w pełnym tego słowa znaczeniu „dobrze wychowane".

ARTYKUŁY DYSKUSYJNE

Popołudniowe zajęcia w szkole.

W oczach naszego pokolenia dokonała się ważna przemiana stosowanych przez szkołę metod wychowawczych. Żyjąc w epoce tej przemiany rodzice pogodzić się muszą z tym, że eksperyment musi być na ich dzieciach wypróbowany; jeżeli jednak tak jest — mają oni prawo i obowiązek współpracy z twórcami nowych metod i nowej szkoły przez dostarczenie sprawdzianu życiowego ich poczynań.

Wychodząc z tego założenia pragnę tu poruszyć sprawę trudnego do rozstrzygnięcia konfliktu pomiędzy programem naukowym i wynikającymi zeń obowiązkami pracy domowej ucznia — a szeroko rozbudowanym planem ćwiczeń cielesnych, oraz udziałem młodzieży w organizacjach i różnego rodzaju kółkach. Dziś w popołudniowych godzinach obowiązkowe przysposobienie sportowe,

jutro pływalnia, innego dnia kółko sportowe, do którego bardzo silnie werbuje nauczyciel gimnastyki, wreszcie harcerstwo, które bardzo pociąga pewien rodzaj młodzieży. Na naukową pracę w domu pozostają zaledwie resztki czasu i to już w stanie zmęczenia, kiedy chciało by się raczej dać organizmowi odprężenie i odpoczynek, a nie dopiero wtedy rozpoczynać pracę umysłową.

Wymagamy tej pracy od naszych dzieci, widzimy jak tkwią nad nią (ziewając!) do godz. 11-ej w nocy i mimo to idąc spać stwierdzają rozpaczliwie, że w głowie mają chaos pośpiesznie odrabianych zadań, ćwiczeń, wykresów i t. p. Trudno się temu dziwić. Dziecko od rana siedziało 6 godzin w szkole, przybiegło do domu, by czym prędzej połknąć obiad i w największym pośpiechu powrócić do szkoły, odległej nieraz o trzy kwadranse drogi. 2 godziny wysiłku fizycznego, znów tramwaj, dom, jakiś posiłek dla uzupełnienia byle jak zjedzonego obiadu i... „mamusiu, ile ja mam roboty na jutro"! Matka patrzy z troską na zegar — jest już po siódmej. Rozpoczęta robota idzie wolno, bez energii, zaabsorbowany poprzednimi wrażeniami umysł nie jest w stanie przerzucić się odrazu do wymagającej skupienia pracy. Nazajutrz uczeń słyszy: „mógłbyś to umieć lepiej, mógłbyć odrobić to staranniej, jesteś niedbały i t. d." Chłopiec pochyla głowę. Mógłby... gdyby miał czas.

W pewnej warszawskiej szkole w IV kl. gimnazjalnej niektórzy uczniowie zwierzyli się szczerze swemu bardzo kochanemu wychowawcy, że będą opuszczali obowiązkowe ćwiczenia cielesne po południu, gdyż nie są w stanie pogodzić ich z konieczną pracą naukową w domu. Wychowawca oczywiście użył całego swego wpływu, aby do podobnego wykroczenia nie doszło, jednak fakt pozostaje, że młodzież obdarzona pewnymi zainteresowaniami lub po prostu mniej zdolna, wręcz się skarży na te ciągłe przeszkody w pracy i przeciw nim protestuje. Bardzo jaskrawo występuje to właśnie w kl. IV, która przy obecnym ustroju szkolnym jest klasą przełomową i ma prawo do tego, aby zatroszczono się o to, by uczeń mógł związane z tym przełomem trudności pokonać. W tej klasie młodzież nie tylko już ma rozbudowane zainteresowania intelektualne, ale nawet wymaga się od niej pogłębiania ich i poznania siebie o o tyle, aby móc móc powziąć słuszną decyzję przy wyborze liceum. Uczeń IV kl. ma w perspektywie egzamin, który wielu z nich będzie zdawało w obcej szkole. Okoliczność ta niewątpliwie podnieca go do pracy i czy jego postępy wynikają z czystych zainteresowań naukowych, czy też z mniej szlachetnych pobudek, jak np. chęć uzyskania dobrych ocen, mających mu ułatwić przyszły egzamin — w każdym razie jest to pożyteczne i dla niego i dla szkoły, gdyż do liceum wejdzie jednostka z odpowiednią podbudową naukową, która łatwiej się przystosuje do wyższego poziomu pracy. Gdy nauczycielstwo w liceum stale narzeka na brak oczytania wśród młodzieży, na powierzchowne traktowanie przez nią pracy — trzeba jej przedtem dać warunki, aby mogła rozszerzyć nieco zakres swej lektury i w ogóle pogłębić stosunek do pracy naukowej.

Poza tym szkoła średnia ma za zadanie dostarczanie do wyższych zakładów naukowych młodzieży nie tylko dobrze rozwiniętej fizycznie, ale również i odpowiednio przygotowanej pod względem umysłowym. Tymczasem egzaminy abiturientów szkół średnich w uniwersytetach i politechnikach dają świadectwo smutnej prawdzie, że przygotowanie naukowe, mimo olbrzymiej pracy, jaką w to wkłada nauczycielstwo, wciąż pozostawia na ogół wiele do życzenia. Coś więc w tym systemie niedomaga! Czy przypadkiem nie to, że uczeń po prostu nie ma czasu na systematyczną pracę w domu? Przy dzisiejszym tempie pracy szkolnej, gdy np. w matematyce każda niemal lekcja przynosi nowe pojęcia, lub znaczne rozszerzenie dawniej przyswojonych — uczeń musi utrwalić to przez przerobienie z zastanowieniem szeregu ćwiczeń w domu, inaczej nie będzie mógł

logicznie operować teorią. Aby to zrobić — młodzież musi mieć czas, a rodzice możność przypilnowania tych spraw w domu.

Mógłby ktoś powiedzieć, że przecież nie wszystkie popołudniowe zajęcia w szkole są obowiązkowe i uczeń może ograniczyć je do dwóch dni w tygodniu. Owszem może, lecz nie uczeń powinien to normować tylko szkoła, bo nawet rodzice nie zawsze są w tej sprawie dobrze zorientowani. Jeżeli zaś już w ogóle nie da się uniknąć tej przykrej konieczności, to przynajmniej w pewnych warunkach trzeba by koniecznie wprowadzić modyfikacje. A więc przede wszystkim winni być od tych zajęć zwalniani nie tylko uczniowie, mieszkający poza miastem, ale i ci z miasta, którzy wskutek niedogodnej komunikacji zbyt wiele czasu na przyjazdy do szkoły tracą. Następnie ci słabi, niezdolni, którzy więcej czasu potrzebują na porządne odrobienie lekcyj w domu. A już niedbałym, leniwym, korzystającym z rozkoszą z każdej okazji, by uciec od książki, a zasłaniającym się potem brakiem czasu na odrobienie zadań domowych — tym szkoła powinna wprost zabronić należenia do różnych kółek, odbywających ćwiczenia po południu, i powiadomić o tym opiekę domową, aby mogła i ze swej strony odpowiednią egzekutywę zastosować. Jeżeli uczeń lubi harcerstwo, gry i ćwiczenia sportowe — niechże się stara rzetelną pracą zasłużyć na prawo udziału w nich. Nie będzie wtedy tak częstych skarg na to, że zapaleni harcerze lub sportowcy są nieraz gorszymi i niedbałymi uczniami.

A teraz jeszcze trochę o stronie wychowawczej tej sprawy.

Często słyszymy narzekania na niewłaściwe zachowanie się młodzieży na ulicach i w miejscach publicznych. Szkoła ogląda się na dom, dom — na szkołę, a młodzież po dawnemu jak broiła, tak broi. Jeżeli stwierdzamy, że istnieje tak znaczny odsetek młodzieży niekarnej, aroganckiej i samowolnej, że zaczyna się to już uważać za cechę młodzie.y naszych czasów, to czy słusznym jest, przynajmniej w warunkach wielkomiejskich, stwarzanie takich okoliczności, które dają młodzieży okazję do korzystania z nadmiernej swobody, a domowi i szkole odbierają zupełnie możność kontroli. Nie każdy dom ma telefon, nie wszyscy też rodzice mają dokładne wiadomości o organizacji zajęć popołudniowych. Przeważnie opieka domowa z dobrą wiarą poprzestaje na informacjach uzyskanych od dzieci, że dziś znów jest takie czy inne kółko, albo że ćwiczenia w szkole dłużej niż zwykle się przeciągnęły. Zresztą, gdyby nawet sprawdzono to raz czy drugi telefonicznie, to i tak bardziej pomysłowe typy, jeśli zechcą powłóczyć się po mieście, zawsze znajdą niemożliwe do sprawdzenia wytłumaczenie spóźnionego powrotu do domu. Rezultat jest taki, że widzi się wieczorem snujące się hałaśliwe gromadki młodzieży, a jakże często nawet spacerujące pod rękę po mniej ludnych ulicach parki, noszące zupełnie jawnie niebieskie tarcze na rękawach. Skąd o tej porze ta młodzież na ulicach? Wiemy to dobrze. Najczęściej to są ci, co wyszli ze szkoły po ćwiczeniach, albo jeszcze lepiej — wyrwali się z domu pod pozorem obowiązkowego udziału w jakiejś fikcyjnej zbiórce.

Duże miasto nastręcza wiele niebezpieczeństw. Znaczna ilość młodzieży mieszka na koloniach. Panienki zmuszone są wracać do domu jesienią i zimą pystymi ulicami po ciemku. Znane są już wypadki zaczepiania ich przez pijaków i typy podejrzane, których nigdy nie brak w wielkim mieście. Chłopcy też widują wieczorem na ulicy nieciekawe sceny, a nawet (ci starsi) bywają zaczepiani. Większość nie reaguje, lub po prostu nie rozumie, lecz są i tacy, którzy potem przybierają kogucikowatą postać, a w następstwie przyswajają sobie ogólnie znaną cyniczną postawę: ręce w kieszeniach, papieros w ustach i pogardliwe spojrzenie z góry na cały świat.

Młodzież potrzebuje większego rygoru! Nie tego, który wynika z zakazów, zawsze możliwych do obejścia, lecz z racjonalnej organizacji życia i pracy, któ-

ra uczyni jak najmniej możliwym wykraczanie poza ustalone normy życia. Nie wolno wystawiać na próbę tak niedojrzałych istot, trzeba stworzyć warunki, aby dobre obyczaje stały się po prostu nawykowym stanem normalnym.

Pozostają jeszcze do omówienia warunki domowe. W N-rze 8 „Rodziny i Dziecka" jeden z ojców protestował przeciwko wyznaczaniu zbiórek harcerskich w takich godzinach, że młodzież nie może zasiąść do obiadu z całą rodziną. Odnosi się to do wszystkich popołudniowych zajęć szkolnych, zwłaszcza gdy uczeń mieszka dalej od szkoły. Są więc dnie, kiedy rodzice nie mogą zamienić z dziećmi słowa, posiłki spożywają oddzielnie i, będąc najgoręcej oddanymi sprawie wychowania swych dzieci, nie mają możności wtajemniczenia się w ich przeżycia i zainteresowania. Poznawanie dziecka i wpływów, jakim ono ulega, a zarazem i niwelowanie ich, gdy zachodzi tego potrzeba, możliwe jest tylko w drodze obcowania, w rozmowach lub przez obserwację. Nie wolno więc uniemożliwiać rodzicom współżycia z dzieckiem, gdyż wynikną z tego tak groźne skutki, że nie poradzą sobie z tym ani szkoła, ani władze.

Uwaga. Świadomie nie poruszam tu sprawy złych rodzin, wywierających niepożądany wpływ na młodzież. Jest to zjawisko patologiczne, nie tak znów częste w odniesieniu do młodzieży szkoły średniej, aby mogło być brane pod uwagę jako przeciętne środowisko wychowawcze.

Z. W.

GŁOSY RODZICÓW.

Nie mieszajmy młodzieży do polityki.

Przeżyliśmy niezapomniane wrażenia, próbę, z której wyszliśmy jako naród zwycięsko. Wymagała ona od nas szalonego napięcia uczuć i nerwów, ostatecznych postanowień i decyzyj. Można śmiało powiedzieć, że przez dwa zwłaszcza tygodnie września, każdy z nas — od dyplomaty począwszy, a na ostatnim szaraczku skończywszy — dał z siebie maksimum wytrzymałości nerwowej. Słowa te stosują się oczywiście i do młodzieży i w jej imieniu chcę tu podnieść pewien objaw społeczny, moim zdaniem wysoce niepotrzebny i niepedagogiczny: polityczne agitowanie młodzieży przez starszych. Wyraziło się ono najdobitniej przez słynny wiec młodzieży na rynku w Cieszynie. Słuchałam transmisji radiowej tego wiecu i przyznam się, że chwilami łzy dusiły mnie w gardle, a chwilami złość podnosiła się w moim sercu. Z najwyższą przykrością, ze wstydem słuchałam rozhisteryzowanych głosików dziecięcych, wykrzykujących tylokrotnie w tym czasie powtarzane hasła bojowe. Tak! rozhisteryzowanych!

Czuło się, jak dzieci te były podjudzone, zaagitowane, wytrącone z równowagi, jak pragnęły za wszelką cenę dorównać starszym w domaganiu się praw — słusznych z pewnością — ale nie na dziecinne siły i możliwości! Dziwnie wobec tego wyglądały dwie wygłoszone na tymże wiecu mowy, jedna działacza politycznego, druga nauczyciela i posła, prawiące o konieczności spokoju, nakazujące młodzieży, aby uczyła się i hartowała, jeśli chce przejąć z czasem z rąk starszych narodowe zdobycze i osiągnięcia. Więc jakże? Albo — albo. Ma młodzież uczyć się i wzrastać w siły, to nie wysyłajcie jej na wiece demonstracyjne, nie róbcie z niej polityków, nie narzucajcie jej wysiłków, jakim ledwo możecie podołać sami. Daleko są, chwała Bogu, czasy, gdy młodzież musiała brać w Polsce na swe barki zadania przerastające jej siły. Dość dla kilkunastoletnich głów i serduszek tego, czym żyły i tak w ogólnej atmosferze napię-

cia, dość tego, co i tak dźwigały razem z nami. Apelować o pomoc dla dzieci Zaolzańskich, to co innego, budzić ofiarność — bardzo słusznie, ale rozhuśtywać namiętności polityczne, to ze względów pedagogicznych po prostu szkodliwe.

Jedna z matek.

Młodzież a uroczystości publiczne.

Z radością powitać tu musimy rozporządzenie Min. W. R. i O. P., które weszło w życie dn. 12. września b.r. (Okólnik Nr. 53 Dz. Urz. M. W. R. i O. P. Nr. 10), a które w sposób zgodny z opinią ogółu rodzicielskiego, nieraz już wypowiadaną w naszym piśmie, reguluje sprawę uczestnictwa młodzieży w uroczystościach i ogólnych akcjach społecznych. Okólnik ten położy kres pewnym bolączkom życia szkolnego, wypływającym ze słusznej, ale w praktyce błędnie czasami realizowanej tendencji do uspołeczniania młodzieży i rozwijania w niej ducha obywatelskego.

Okólnik stwierdza, że „młodzież zbyt często bywa odrywana od zajęć szkolnych" „z powodu uroczystości publicznych, rewii, pochodów zbiórek i t. p.", i że „wpływa to ujemnie na normalny tok pracy szkolnej, a nie daje odpowiednich pod względem wychowawczym wyników". W związku z powyższym okólnik zwraca uwagę na „konieczność oszczędzania sił młodzieży i czasu pozostającego do jej dyspozycji".

Poleca więc przede wszystkim, żeby „przy planowaniu wystąpień zewnętrznych bezwarunkowo brać w rachubę wiek młodzieży, jej możliwości fizyczne, zdrowie oraz porę roku i warunki atmosferyczne, a zaniechać bezwzględnie wystąpień, o ile miałyby oddziaływać niekorzystnie na młodzież".

Rozporządzenie to pozwoli na przyszłość uniknąć tych tak licznych a tak poważnych w swoich skutkach przeziębień, przemoknięć i t. p. na które młodzież, szczególnie młodsza, była narażona podczas różnych uroczystości.

Na zewnątrz młodzież może występować tylko jako zespół szkolny. „Nie należy zatem przydzielać młodzieży do zespołów różnych organizacji. Wyjątek stanowią hufce szkolne".

W szeregach różnych organizacji jak harcerstwo, przysp. wojsk. czy P.W.K. „młodzież może występować w szeregach tych organizacji tylko w porze wolnej od zajęć szkolnych".

Okólnik ustala sześć dat uroczystości, które powinny być stale obchodzone, bez specjalnych zarządzeń w tej sprawie, a mianowicie dni: 11 listopada, 1 lutego, 18 i 19 marca, oraz 3 i 12 maja.

Co się tyczy akcji społecznych, okólnik wysuwa zasadę, aby zagadnienia i tematy z nimi związane były w szkole uwzględniane w miarę możliwości w związku z programem nauki, a nie stanowiły okazji do specjalnych uroczystości, odrywających ogół młodzieży od zajęć szkolnych.

Co się tyczy pracy organizacji szkolnych, to okólnik stwierdza, że „należy konsekwentnie i bezwzględnie dążyć do ograniczenia ilości podejmowania imprez i przedsięwzięć młodzieży na rzecz ich jakościowego przygotowania, oraz wpływać na nadawanie im charakteru akcji społecznie pożytecznych, a nie efektownych i popisowych uroczystości".

O wiele nas za mało.

Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść chętną pomoc bliźnim... — przyrzeka 11-letnia dziewczynka, czy chłopiec w obecności

swych koleżanek i kolegów, harcerek i harcerzy, a jak rzadko w obecności swych rodziców. A przecież chwila to ważna w życiu młodzieży, bo odtąd zaczyna się określona i wytknięta droga, na której będzie ona kształtowała swój charakter.

Od tej chwili zakres pracy młodzieży wyraźnie się zwiększa. Przybywają nowe obowiązki i kłopoty, które stają się niejednokrotnie „kością niezgody" między rodzicami i dziećmi. Wynika to z braku zainteresowania rodziców pracą harcerską ich dzieci. Słyszy się często narzekania, że zbiórki harcerskie odbywają się kosztem lekcyj zadanych, że młodzież dawniej uległa, odkąd należy do harcerstwa ma „własne zdanie", podczas gdy w rozmowie z rodzicami według ich zdania, powinna t y l k o słuchać (zamiast być zrozumianą). Przypomina to trochę tresurę, która nie rozwinie wiary we własne siły i odpowiedzialności, cech tak bardzo ważnych w przyszłym, samodzielnym życiu młodzieży. Prawda, że do codziennych zajęć szkolnych, dochodzą zbiórki, wycieczki, praca charytatyczna, społeczna, do której młodzież harcerska zostaje powoływana przez inne organizacje społeczne, jak L. O. P. P., P. C. K. itd., ale tym się martwić nie należy. Z tym my, rodzice, powinniśmy się pogodzić i ucieszyć, że krąg zainteresowań naszych dzieci rozszerza się. Przystąpić z nimi do tej pracy, a opłaci się nam ona sowicie, bo zdobędziemy przyjaźń i zaufanie młodzieży, uczucia, które pomogą rozwiązać niejedną trudność wychowawczą.

Ciekawe, jak przedstawia się współpraca rodziców i dzieci w innych krajach?

J. Godlewska.

Na marginesie filmu „Przygody Tomka Sawyera".

Afisze głoszą wspaniały film d o z w o l o n y o d l a t s i e d m i u, w niedzielę poranki. Na fotosach w bramie uśmiechnięte twarzyczki dziecięce zachęcają do wejścia. Rodzice są zadowoleni, że wreszcie film odpowiedni dla dzieci, że można zrobić im przyjemność w niedzielę.

Przy kasie tłok. Wokoło osób kupujących bilety mnóstwo dzieci ubranych świątecznie, z buziami pełnymi oczekiwania — niecierpliwią się „kiedy się to zacznie". Wreszcie rozsuwają się zasłony we drzwiach — znak, że można wejść na salę. Tupot dziecięcych nóg, przejęte głosy czy aby jest miejsce, małe ręce pociągają starszych, żeby szli prędzej.

Na sali czuje się taką specjalną, czysto rodzinną atmosferę, gdzie dorośli (czasem, o zachwycie, s a m tatuś nawet!), mają czas dla swoich malców, wymyślili im przyjemną rozrywkę i teraz oto siedzą dumni, zadowoleni z siebie, w oczekiwaniu aż zgasną światła i przed oczy widzów spłynie dziwny świat i pochłonie ich na całe dwie godziny wszystkich — i tych dorosłych i tych małych. A w tym świecie komiczne psoty i figle płata urwis Tomek, czym do rozpaczy doprowadza swoją ciocię. Mały widz bierze żywy udział w smutkach i radościach bohatera, sala zanosi się i dzwoni śmiechem, słychać dziecinne okrzyki zachwytu. Rodzice cieszą się, że tak dobrze wybrali rozrywkę niedzielną, ich też ten film bawi, podoba się.

Nagle cichnie śmiech, czuje się powiew grozy, na widowni napięta cisza, to scena na cmentarzu, zbrodnia dokonywana nad grobem. Na rozchylonych do śmiechu ustach zastygają słowa, oczy z trwogą patrzą na obce, niezrozumiałe dla nich sprawy, jakieś ciemne, okropne, groźne.

Po chwili zwolna następuje odprężenie na widok dalszych perypetii Tomka, znowuż śmiech, rodzice uspakajają się, że pewno już dalej nie będzie takich emocyj. Ale znowu, gdy straszliwy Indianin Joe podczas sceny w sądzie grozi

nożem Tomkowi, widownią wstrząsa dreszcz grozy, część dzieci jeszcze się śmieje, ale jakoś nerwowo, niespokojnie. Rodzice znowuż uspakajają. I znowuż mija emocja, znowuż nastrój na ekranie staje się pogodny. Mała publiczność, a z nią i rodzice doznają ulgi. Niestety, nie na długo, scena w pieczarach, pościg Indianina z nożem w ręku, wszystko przy świetle kaganka — nawet na dorosłym widzu robi silne wrażenie, a u dzieci niemal z każdą sekundą wzrasta napięcie, w świetle ekranu widać rozszerzone przerażeniem oczy i czuje się takie udręczenie młodych widzów, że zakłopotani rodzice raz po raz muszą uspakajać: „to przecież nie jest prawda, to tak na niby". Niekiedy, zapewne pod wpływem takich tłumaczeń rozlega się znowu nerwowy, krótki śmiech jakiegoś dziecka, jednak większość płacze. W pewnej chwili jakiś cienki, udręczony głosik doprowadzony do granic wytrzymałości woła: „mamo, kiedy będzie koniec?!".

Zapalają się światła, rodzice zaczynają obracać wszystko w żart, że przecież dobrze się skończyło, to przecież taka bajka. Przy wyjściu jednak dzieci mocno trzymają się starszych, a światło dnia ukazuje w niejednych dziecięcych oczach zastygłe łzy trwogi i skurczoną przestrachem twarzyczkę. Nie, stanowczo te dzieci nie wyglądają na ubawione!

Dorośli lubią wstrząsające sceny, ale gdy film jest dozwolony od lat siedmiu, rodzice sądzą, że wobec tego będzie dobry dla ich dzieci i przyprowadzają je z całym zaufaniem — czyż muszą oglądać takie sceny? W dodatku, jeśli chodzi o ten film, to jest on skonstruowany bez pietyzmu dla dzieła literackiego, psuje je przez wprowadzenie właśnie tych najgroźniejszych scen, których w utworze literackim w ogóle nie ma, a przynajmniej nie ma w tak ostrej postaci. Cała ta „groza" jest dorobiona w filmie dla spotęgowania wrażeń widza, co w odniesieniu do małego widza można by nazwać po prostu „dla straszenia dzieci".

Świat przecież jest taki ciekawy, dziecko jest zawsze żądne poznania, czyż nie ma już innych zajmujących spraw, które można mu pokazać prócz najdzikszych instynktów ludzkich i brutalnych spraw życia? Takie sceny to przyczyna całych serii okropnych snów o strachach z nożem, grobach, złych mocach, snów zatruwających pogodę dzieciństwa, snów, które dla niejednego z nas stały się zmorą długiego okresu lat dziecinnych, a powstały ze „strasznych" bajek, opowieści. Czyż wolno jest dawać takie rozrywki, które wpływają destrukcyjnie na nerwy i psychikę dziecka, czy też raczej jest naszym obowiązkiem s z a n o w a ć i p o d t r z y m y w a ć jego spokój nerwowy, który warunkuje o prawidłowym rozwoju dziecka, a w następstwie o zdrowej psychice w ciągu całego życia.

L.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Życie religijne dziecka a dom rodzinny.

Z okazji Kongresu Dziecka, Nr. 19 „Pani Domu" został poświęcony zasadniczym zagadnieniom dotyczącym dziecka w domu. Na czele tych zagadnień czytamy artykuł Ks. Stefana Piotrowskiego p. t. „Życie religijne a dom rodzinny", który podajemy w streszczeniu.

We wstępie autor zaznacza, że pojęcia „życie religijne" nie zamyka w sferze modlitewno - sakramentalnej, a już w żadnym wypadku w tzw. dewocji, terminu, który nabrał odpychającego znaczenia „wobec niezdrowego, nawet w pewnym sensie nie-

moralnego podejścia szeregu ludzi do istotnie potrzebnej i wartościowej pobożności". Życie religijne to umiejętność rozwiązywania wszelkich problemów naszego życia i kształcenie tegoż życia według praw Bożych. Im większy jest wpływ prawa Bożego na „tworzenie się moralnych sądów naszych", im silniej przenika kierunek naszego codziennego życia i naszych zwykłych, codziennych spraw, tym religijność staje się głębsza, a „świat modlitewno - sakramentalny staje we właściwej pozycji — nie celu ale środków, dających możność zrealizowania właściwego celu: rozwoju naszej osobowości, aż do szczytów zetknięcia się z Bogiem."

Wychowanie osobowości dziecka jest równorzędne z rozumnie pojętym wychowaniem religijnym, które dokonać się może przede wszystkim w rodzinie.

Katolicyzm XIX w. zostawił nam w swojej spuściźnie pedagogicznej pewne kierunki skarłowaciałe, które jeszcze obecnie utrudniają wielu ludziom właściwe spojrzenie na istotę pracy wychowawczej. Jednym z nich to tzw. wychowanie autorytatywne, które niemal na całej linii dzisiaj załamało się. Przyczyn tego załamania nie należy szukać tylko w innej niż 20 lat temu psychice młodzieży i w innych warunkach społecznych, w których się ona rozwija. Przyczyna istotna tkwi w samym kierunku wychowawczym.

Dusza ludzka jest niedostępna dla wszelkiej przemocy. Żaden nacisk zewnętrzny, żaden autorytet nie zdoła otworzyć duszy człowieka, jeśli on tego sam nie zechce. Nakazu można usłuchać pod wpływem lęku, ale to jest wpływ przemijający, w ten sposób nie wychowujemy osobowości. Istotne oddziaływanie na wychowanka wymaga jego zgody i świadomej woli, gdyż tylko wtedy zasady, które wychowawca pragnie w niego wpoić, stają się jego moralną własnością. „Dziecko może być wychowane tylko przez to, co ukochało i przez tych, z którymi związane jest miłością". I dlatego rodzina, związek przyrodzony ludzi połączonych miłością, jest najodpowiedniejszym terenem do wychowania życia religijnego dziecka.

Wychowanie autorytatywne dąży do zastąpienia właściwego oddziaływania rodziny na dziecko. Uciekają się do niego rodzice, którzy albo nie umieją wychowywać, albo nie mają w sobie wartości niezbędnych do wychowywania. Łatwiej jest nakazać — pisze autor — niż doprowadzić do dobrowolnego uznania i przyjęcia za swoje podane zasady, daleko wygodniej liczyć na stanowisko w tym wypadku rodzicielskie, niż oprzeć się na swojej osobistej wartości.

Jednak tego rodzaju wychowanie nie osiąga trwalszych rezultatów. Dziecko starsze zaczyna krytycznie wglądać w osobiste walory rodziców i w ich moralne prawo do autorytetu, czemu nierzadko towarzyszą rozdźwięki i konflikty pomiędzy starym i młodym pokoleniem w domu. Przy tym należy mieć na uwadze, że dzisiejsza młodzież na ogół wcale nie jest skłonna do uznawania autorytetów jako takich, za to ma silne wyczucie rzetelnej wartości człowieka i ugnie się dobrowolnie przed bogatą osobowością szczególniej tych, których kocha.

„Swoje zadanie wychowawcze w stosunku do życia religijnego dziecka dom rodzinny spełnia drogą podwójnego oddziaływania: zamierzonego i niezamierzonego. Do pierwszego, autor zalicza przede wszystkim świadomy udział rodziców w kształtowaniu u dziecka światopoglądu o podstawach religijnych i czujną troskę, aby życie dziecka konsekwentnie odpowiadało zasadom przyjętym.

„Zapewne, że dziedzinę intelektualną życia religijnego jakby ex professo obejmuje szkoła, a w dużym stopniu i tę drugą — wychowawczą. Szkoła jednak wszystkiego nie zrobi, rodziny całkowicie nie zastąpi ani w budowaniu religijnej myśli, ani tym bardziej religijnego czynu, co w sumie daje religijne życie. Powód zupełnie zrozumiały: szkoła pracuje nad gromadą zróżniczkowaną w swoim składzie zarówno pod względem psychicznym jak i warunków życia. W pracy gromadnej trudniej jest nawiązać łączność bezpośrednią i myśli, i serca. Szkoła powierzone sobie zadanie spełnia w tym stopniu,

w jakim uda się jej przez swoich pracowników nawiązać z wychowankiem wspomnianą łączność".

Omawiając sposób, w jaki ma spełnić swoje zadaniem dom rodzinny, autor czyni zarzut przeciętnej inteligentnej rodzinie katolickiej, że nie prenumeruje, nie czyta czasopism o treści religijnej (np. „Biblioteka Wiedzy Religijnej", „Kultura"); że w domach tak mało słyszy się rozmów na tematy religijne lub o zagadnieniach życia bieżącego, rozwiązywanych w świetle prawd Bożych. Nie chodzi tutaj o prowokowanie zasadniczych dysput, lecz o naturalną treść rozmowy domowników o sprawach, które nasuwa samo życie.

W świadomości naszego społeczeństwa tkwi jakieś dziwne zażenowanie wobec zagadnień religijnych. Nie przeciwstawiając się im, nie staramy się uznać ich przynajmniej za równorzędne z innymi dziedzinami naszych zainteresowań intelektualnych. Dziecko nie może czerpać z domu rodzicielskiego wiedzy o naczelnych wartościach życiowych, skoro o tych sprawach albo się milczy, albo prześlizguje powierzchownie i niepoważnie.

„W wielu domach rodzice interesują się nie tylko wynikami pracy szkolnej swoich dzieci ale i samą pracą, czy to w formie pomocy przy odrabianiu lekcyj, czy też bodaj w formie rozmowy o nich. Proszę w tym zainteresowaniu się nie ograniczać do matematyki, polskiego, historii, ale również bodaj tą samą miarą obdarzyć i religię. Przecież ona ani metodą pracy, ani treścią wiedzy, ani życiową wartością nie ustępuje żadnemu innemu przedmiotowi szkolnemu, dlaczego więc traktować ją inaczej? Przynajmniej na równi z innymi działami pracy szkolnej interesować się z dzieckiem jego pracą w dziedzinie religijnej, pomagać mu w niej; wtedy ono nabiera szacunku do samego przedmiotu już nie tylko przez jego wewnętrzną wartość, ale i przez stanowisko rodziców".

W wychowaniu religijnym nie mniej ważnym jest stosunek rodziców do życia wewnętrznego dziecka, który musi być oparty na wielkiej delikatności i takcie. Dziecko bowiem ma tak samo jak dorosły swoje ciężkie i bolesne przeżycia i zanim ukształtuje się człowiek dojrzały, przechodzi wiele załamań i wiele trudności. Istota przeżyć wieku młodzieńczego różni się tylko pod względem skali, ale nie pod względem siły. Rodzice muszą się interesować przeżyciami dziecka, starać się pomóc mu, ale w taki sposób, aby czuło serce, życzliwość, a nie przymus i natrętne wkraczanie w jego życie osobiste. Dom rodzinny musi odnaleźć w postępowaniu z dzieckiem właściwą metodę w dziedzinie pozytywnej życia religijnego. „Dziecko przeżywa chwile bardzo osobiste, a wzniosłe, np. rekolekcje, spowiedź. Przejść obok tych przeżyć zupełnie nie zwracając na nie uwagi nie można — gdyż to byłoby poniżeniem ich wartości w psychice dziecka. Z drugiej strony ostentacyjnie chwil tych akcentować też nie można, raz że to pomniejsza samo przeżycie, bo krępuje dziecko w jego bezpośredniości, a po drugie rodzi coś z teatralnych sztucznych efektów, nie pasujących do wielkości chwili".

Żadna chwila uroczysta życia religijnego dziecka nie może przejść w domu bez echa, niepostrzeżenie; cały dom ma brać udział w takiej chwili, ale niech to będzie robione nieomal bez słów, bez egzaltacji, niech się to przejawi w innym, bardziej odświętnym wyglądzie domu, jakiejś cieplejszej serdeczności dla samego dziecka, obecności najbliższych przy nim, obecności nie krępującej, nie narzucającej się, ale spostrzegalnej. Jeśli chłopiec wieczorem tego dnia pocałuje matkę serdeczniej, goręcej, choć jej nic nie powie, bo mówić mu i trudno i w ogóle o tym mówić jakoś nie można, to matka wtedy aż nazbyt dobrze odczuje, że dziecko wszystko widziało, zrozumiało udział domu w jego życiu i jest za to wdzięczne. Takie wspólne przeżycia wiążą, wyciskają na życiu religijnym dziecka swój stygmat i może nieraz gdzieś później, bardzo późno, będą siłą, która z zakłóconej równowagi dźwignie i na nogi postawi".

„Niezamierzone oddziaływanie wychowawcze rodziny na życie religijne dziecka da

się ująć w zasadniczej tezie: poziom moralny i religijność zdrowa samych rodziców. Żaden wysiłek wychowawczy zamierzony, choćby najlepiej przemyślany, najdokładniej wykonany nie osiągnie swego celu, jeśli za nim nie będzie stać ta moralność i ta religijność, o której się dziecku mówi, do której zachęca".

Osobista wartość rodziców — pisze w zakończeniu ks. Piotrowski — jest siłą działającą samorzutnie i ona jedynie nadaje twórczy sens ich słowom i radom.

Artykuł cechuje wielka serdeczna życzliwość dla młodzieży, doskonała znajomość jej psychiki i subtelna wnikliwość w nastroje przeciętnej współczesnej rodziny.

SPRAWOZDANIE
z I-go Ogólnopolskiego Kongresu Dziecka w Warszawie (2 — 4 października r. b.).

Otwarcie Kongresu odbyło się w atmosferze wielkiego przejęcia uczestników, którzy zebrali się z całego kraju, aby w momencie ważnym dla państwa i narodu zaświadczyć o swej trosce i wielkiej dbałości o los dziecka polskiego. Pod hasłem polepszenia doli dziecka w Polsce i wytężenia zbiorowych sił społecznych dla dobra najmłodszego pokolenia zebrał się Pierwszy Ogólnopolski Kongres Dziecka, który nie ma być ostatnim, lecz otwierać ma szereg kolejnych kongresów w latach następnych. Kongresy te będą przeznaczone na poszczególne wielkie zagadnienia, lub grupy zagadnień, dotyczących spraw dziecka.

Otwierając Kongres zabrał głos prezes Komitetu Wykonawczego I Ogólnopolskiego Kongresu Dziecka, gen. dr. Stefan Hubicki.

W zagajeniu prezes Komitetu podkreślił nie tylko faktyczne okoliczności i prace kongresowe, lecz momenty społeczne i ideowe. W przemówieniu jego brzmiała serdeczna nuta uczuciowa, tak ważna we wszystkich sprawach, dotyczących dziecka i stosunku społeczeństwa dorosłych do najmłodszego pokolenia, które musi być wychowane dla lepszej przyszłości.

Gen. dr. St. Hubicki nawiązał do historycznego momentu odzyskania Śląska za Olzą i poświęcił gorące słowa dziecku polskiemu, które zachowało polską duszę w walce z wynarodowieniem w szkole czeskiej.

Jako przedstawiciel P. Prezydenta Rzeczypospolitej, oraz w imieniu Rządu zabrał głos p. Minister Opieki Społecznej, Marian Zyndram-Kościałkowski, podkreślając, że Kongres odbywa się w momencie historycznie ważnym dla naszego Narodu. „Reprezentuję — mówił Minister Opieki Społeczenej — obowiązek Polski w stosunku do potrzeb dziecka i stąd czerpię prawo do patrzenia na Kongres dzisiejszy, jako na siłę organizującą się ku pomocy państwu w trosce o najlepsze jego dobro, jakim jest dziecko".

W dalszym ciągu podkreślił p. Minister Kościałkowski jaki już jest nasz dorobek opieki nad dzieckiem. Oto w akcji letniej, kolonii i półkolonii uczestniczy 580.000 dzieci, z czego 76.000 w dziecińcach wiejskich, dożywianie zimowe obejmuje 800.000 dzieci. Koordynują tę akcję powołane przez Ministra Opieki Społecznej Komitety Społeczne opieki nad dziećmi i młodzieżą. Pomoc w otrzymywaniu podręczników szkolnych, pomoc dla rodzin i opieka nad sierotami jest szeroko traktowana. Państwo utrzymuje 42.000 dzieci w zakładach opiekuńczych i 10.000 w rodzinach zastępczych. Coraz liczniejsze są ogrody dla dzieci i place dla zabaw, poradnie różnego typu, przedszkola i szkoły. Prowadzona jest walka z chorabami i umieralnością dzieci, rozwija się akcja opieki nad macierzyństwem. Nie można zatem powiedzieć, że „w Polsce nic się nie robi" — robi się nawet dużo, z nakładem pracy i środków, z dobrą wolą i celowo. Jednak są jeszcze bardzo znaczne braki. Są dzieci, którym dzieje się krzywda i którym brak jest tkliwego uczucia, gdyż za wiele ludzi dorosłych zapomina o dziecku.

Atmosferę, w której wychowują się nasze dzieci, stwarza społeczeństwo. Kongres zebrał się po to, aby zaapelować do społeczeństwa, upomnieć się za dziecko o jego prawa do miłości, do współczucia, do troskliwej opieki. Kongres ludzi dorosłych będzie lepiej słyszany, niż słaby głos dziecka. Kongres może przemówić mocno, zwłaszcza, gdy przemówi jednym zgodnym głosem. W wielkiej liczbie uczestników, w różnorodności grup społecznych, reprezentowanych na sali obrad Minister widzi zbiorową wolę pracy dla dobra Rzeczypospolitej przez służbę dziecku. Witając Kongres p. Minister Opieki Społecznej wyraził swe życzenie, aby plon pracy był duży i realny.

Obrady plenarne.

Rozpoczęto następnie obrady Kongresu zebraniem plenarnym, na którym wygłoszono trzy referaty, dotyczące stosunku dorosłych do dzieci.

Pierwszy referat p. t. „Dziecko i człowiek dorosły" wygłosił wiceprezes Komitetu Wykonawczego Kongresu, p. Stanisław Dobrowolski.. Drugi temat „Dziecko w rodzinie" miał dwu koreferentów, p. Wandę Szuman i p. Cz. J. Babickiego. Wreszcie referat pt. „Dziecko w polskim prawie rodzinnym" — wygłosił prof. dr. St. Gołąb z Uniw. Jagiellońskiego.

„Dziecko i człowiek dorosły".

Referat St. Dobrowolskiego (w streszczeniu).

Każdy naród, każde państwo, będące w rozwoju — mówił prelegent — szuka źródeł swej mocy w ziemi, w rozwoju ekonomicznym kraju, w umacnianiu swych granic, w kulturze, nauce, sztuce.

Jednak najpotężniejszym źródłem mocy narodu — jest człowiek, obywatel. W jego to zdolnościach i wartościach twią te wartości, które stanowią o losach państwa i narodu.

Ale droga, którą musi przemierzyć niemowlę do swej dojrzałości, jest bardzo daleka. Prowadzi przez świat dziecięctwa, a przewodnikami na niej są dorośli. Kontakty ludzi dorosłych z dziećmi bądź stałe, bądź przygodne zadecydują w dużym stopniu, jacy z nich wyrosną ludzie i obywatele. Zagadnienie stosunku dorosłego do dziecka nie jest ani proste, ani łatwe do rozwiązania. Dziecko — odwieczny towarzysz dorosłego, tworzy najmocniejszą więź w życiu społecznym, jest cementem i główną racją istnienia rodziny, a mimo to, wzajemny stosunek pokolenia dojrzałego i dziecka nie został ustalony przez ludzkość. Ustosunkowaniem się do dzieci różnią się nie tylko poszczególni ludzie między sobą, ale całe klasy społeczne i narody. Od ubóstwiania dzieci do znęcania się nad nimi, od ofiarnego wyrzeczenia się dorosłych dla drobiazgu dziecięcego do tępego egoizmu starszych — oto kontrasty w ustosunkowaniu się do dzieci ludzi żyjących z sobą o ścianę.

Dorośli i dzieci stanowią jakby dwa odrębne światy. Celem życia dorosłych jest tworzenie i kształtowanie rzeczywistości, rolą dziecka jest tworzenie siebie, wyrastanie, a więc praca jest wykonywana i przez dorosłego i przez dziecko. Rezultaty pracy ludzi dorosłych są realne, widoczne; wyniki zaś olbrzymiego trudu dziecka, jak poznanie świata i przystosowanie się do niego, brane niejako w siebie wewnątrz, wymykają się spod naszej oceny. Dorosły interesuje się życiem społecznym, hartuje się w pracy i walce życia, dziecko chętnie ucieka w swój świat wewnętrzny, jest wrażliwe, potrzebuje uśmiechu i serca.

Między światem dorosłych i dzieci odbywa się walka. W pewnych wypadkach świat dziecięcy uzyskuje pierwszeństwo — wtedy ludzie dorośli stawiają potrzeby dzieci przed swoimi, kiedy indziej spychają dzieci gdzieś na tyły, nie uznają jego praw przyrodzonych, każą dziecku służyć sobie i swoim interesom.

Jako przykład zwycięskiego świata dzieci może służyć fragment z przysłanego na Kongres referatu członka poselstwa japońskiego, p. Nogucki, o stosunku dorosłych do dzieci.

Japonia jest rajem dzieci. W każdej prawie rodzinie japońskiej dziecko jest ośrodkiem. Japończycy mają wyrażenie „kodakara" (skarb w dzieciach), którego to wyrazu nie ma w żadnym innym języku. Cudzoziemcy, którzy byli w Japonii, opowiadają, że nie ma dzieci tak roześmianych i wesołych, jak dzieci japońskie. Wszędzie i zawsze dziecko otoczone jest specjalną troskliwością. Ma się niemal wrażenie, że święta i uroczystości istnieją właściwie po to, aby rozweselić dzieci. W Japonii zdarza się często, że maleńskie dzieci odbywają same podróże koleją pod opieką konduktorów.

Nigdzie w świecie nie ma zakładów zabawkarskich postawionych na tak wielką skalę jak w Japonii. Rokrocznie pojawia się około 300 płyt gramofonowych z piosenkami, opowiadaniami i sztukami dla dzieci, a liczba periodyków specjalnie dziecinnych dochodzi do kilkudziesięciu. Wieczne zadowolenie dzieci japońskich wpływa na to, że wyrastają z nich ludzie o mocnej, zrównoważonej psychice, a wypadki wypaczania charakteru są nadzwyczaj rzadkie.

A jak się układają w Polsce stosunki pokolenia dorosłego z pokoleniem najmłodszym, czy pod kątem dorosłego, czy dziecka? Chodzi nie o to, jaki jest stosunek rodziców do dzieci czy wychowawców do swoich wychowanków, ale najogólniej — o stosunek przedstawicieli pokolenia dojrzałego do istoty ludzkiej będącej w rozwoju. W naszym społeczeństwie kontrasty w tej dziedzinie są bardzo ostre. Więc spotykamy ludzi, których stosunek do dzieci niezależnie od tego, czy to swoje, czy obce jest nacechowany głębokim zrozumieniem jego natury, życzliwością i gotowością zaopiekowania się nim w potrzebie, inni zaś — między ustosunkowaniem się do dziecka swego a obcego stwarzają przepaść: swemu oddaliby całe serce, dla dziecka cudzego mają tylko obojętność lub niechęć. Człowiek dorosły nie spostrzega dziecka, nie interesuje się nim, przy codziennych zetknięciach na ulicy, w tramwaju, w sklepie, na drodze wiejskiej ma dla niego ton obcości i wyższości.

Dzieci nasze stanowią trzecią część ludności, żyją swoim bogatym życiem, mają tysiączne potrzeby, wymagają specjalnych warunków do normalnego rozwoju. Współczesna rodzina nie może sama podołać wychowaniu dziecka, nawet łącznie ze szkołą. Rodzina jest dzisiaj słabsza, mniej zwarta, dzieci bardziej samodzielne, żyją szerszym życiem, a od obywateli wymaga się większej aktywności niż dawniej. Każdy członek społeczeństwa musi więc wziąć na siebie część odpowiedzialności za rozwój młodego pokolenia. Przepaść w ustosunkowaniu się do dziecka własnego i obcego musi być zasypana. Wszystkie dzieci są nasze, tak jak naszym jest społeczeństwo i jego przyszłość. Dziecko nie znosi przejścia spod ciepłej atmosfery rodzinnej do obojętności ludzi obcych. Rodzice, którzy cały swój sentyment i wpływy wychowawcze ograniczają do własnych dzieci, niech pamiętają, że dziecka nie uchronią przed złem skradającym się z zewnątrz, o ile wspólnymi siłami nie roztoczą opieki nad całym młodym pokoleniem we wszystkich ośrodkach życia.

Materiał dziecięcy posiadamy wdzięczny i zdolny do kształtowania i do kierowania. Społeczeństwo nasze posiada duże zasoby uczuciowe, byleby je skierować w odpowiednie łożysko. Trzeba tylko wielkiej fali uświadomienia, trzeba podniesienia „temperatury uczuciowej", trzeba w stosunek do kultury naszego życia wprowadzić trwałe formy obyczajów, uwzględniając dobro dziecko i jego świat psychiczny.

Dziecko w rodzinie.

Część I. — Wanda Szumanówna (streszczenie).

Referentka porównuje wyniki wychowywania dzieci w rodzinie i poza rodziną tj. w zakładach wychowawczych. Na podstawie własnych obserwacji oraz innych auto-

rów referentka dochodzi do wniosku, że dzieci wychowywane w rodzinie rozwijają się lepiej i wszechstronniej.

Wychowankowie zakładów są na ogół mniej odporni na choroby zakaźne, mają słabszy układ kostno-mięśniowy, bardziej wiotką skórę. W zakresie rozwoju psychicznego jeszcze wyraźniej występują różnice na niekorzyść dzieci, wychowywanych w zakładach wychowawczych.

Opóźniony rozwój mowy, a co za tym idzie opóźnienie pojęć i sprawności myślenia, słabszy rozwój uwagi, pamięci i woli, mniejsza wrażliwość zmysłów i uboższa skala uczuć, wreszcie większa bierność i niezaradność życiowa — oto cechy, spotykane u dzieci z zakładów wychowawczych.

W zakładzie nie wzrasta w dziecku równie silnie jak w domu ani miłość, ani szacunek dla wychowawcy i przez to trudniej w tym dziecku pogłębiają się uczucia religijne i narodowe, które się zwykle najsilniej przeżywa z osobami najbliższymi. Dziecko zakładowe przeżywa mniej wzruszeń i przeżywa je, jak gdyby powierzchownie.

Dziecku, by wyrosło na człowieka, koniecznym jest nie tylko oparcie o dobro materialne ludzkości, które zakład może dać i może nawet więcej daje niż rodzina, ale dziecku potrzeba też oparcia o dobro umysłowe ludzkości przez bezpośrednią, bliską styczność z człowiekiem dorosłym i nieodzownym też dla niego jest dzielenie się sercem, odbieranie i oddawanie swych uczuć, a to bezpośrednie czerpanie z umysłowych wartości i wzajemna zamiana serca odbywa się właśnie najlepiej w małym, bliskim dla siebie kółku bez świadków w rodzinie.

Część II. — J. Czesław Babicki (streszczenie).

Popularny pogląd na wychowanie w rodzinie streszcza się następująco: dziecko wychowuje się dobrze w rodzinie — źle poza nią. Ale bywa i inaczej i żadna instytucja nie zdemoralizuje tak dziecka, jak może to zrobić jego własna rodzina. Bywają rodzice, którzy nieludzko karzą dzieci za niechęć do prostytucji, inni przez alkoholizm, katowanie dzieci, cyniczny przykład i rozpustę demoralizują do gruntu dusze dziecęce.

Gdzieindziej — rodzice w nędzy, zbuntowani przeciw wszystkiemu, co legalne i prawe, urabiają swe dzieci od zarania na burzycieli porządku społecznego i przestępców.

Wydaje się, że opinia o dodatniej wartości rodziny jest zbyt generalna. Siła wychowania rodziny — jako wpływu — bez przesądzania jego jakości jest wielka. W swym związaniu ekonomicznym, we wspólnocie przeżyć, we wzajemnym ustosunkowaniu się do siebie rodzina posiada niezwykle silne środki działania urabiającego. Matka w swym emocjonalnym oddziaływaniu jest niezastąpionym czynnikiem między egocentrycznym światem dziecka i światem zewnętrznym. Nie rozum i nie wiedza, lecz uczucie jest źródłem stosunku matki do dziecka.

Ojciec nie ma tych związań z dzieckiem, co matka. Źródłem jego stosunku do dziecka będzie duma, nadzieja ziszczenia swych pragnień przez dziecko, niechęć, rywalizacja o pierwszeństwo w domu, często zaś po prostu ustosunkowanie się do samego faktu istnienia dziecka w domu i wypływających stąd kłopotów i radości. Matka jest podrzędna dziecku uczuciowo, ojciec bierze na ogół na siebie rolę nadrzędną, autorytatywną. Wpływ ojca ma swe źródło w nieświadomych zakamarkach egoizmu męskiego, ujawnia się w automatycznie konsekwentnym oddziaływaniu. Wyrabia on w dziecku hamulce wewnętrzne, granice między dozwolonym i nielegalnym w rozumieniu danego środowiska.

Przeżycia kształcą trwale i wytyczają drogę postępowania przyszłego obywatela. Znajdują one w rodzinie sprawdzian w bezpośrednim doświadczeniu dziecka, czego brak obiektywnym prawdom szkolnym. Poglądy najbliższego środowiska, które pod swoje powodzenie i klęski podkłada swoiste teorie socjalne, stają się wyznaniem wiary dziecka. W rodzinie rozwija się kształt moralny i kulturalny człowieka: wiara i materializm, ideały, cnota i występek. To, co wychowanie w rodzinie zdziałało, jest tłem rzucającym refleks na całe postępowanie człowieka. Jakość wychowania zależy od jakości ludzi składających się na rodzinę i od warunków, w jakich żyją i wychowują swe dzieci.

Rodzina jest najmocniejszą komórką wychowawczą, wychowuje mocno — dobrze lub źle. I w tym właśnie leży zagadnienie wychowawcze rodziny. Obowiązkiem społeczeństwa i oficjalnych czynników jest roztoczenie opieki nad zdrowiem i moralnością każdej rodziny, a w szczególności takiej, która mogłaby być dobrą komórką wychowawczą, gdyby nie brak uświadomienia i warunków.

Musimy dla dobra wychowywanej w rodzinie dziatwy tworzyć ośrodki uświadamiające zarówno matki jak ojców — a zwłaszcza tych ostatnich — o metodach wychowawczych i o sile dobrego i złego przykładu: odczyty, artykuły, pisma popularne, ulotki, koła rodziców, wystawy.

Chrońmy dobrą rodzinę jako źródło moralnego wychowania narodu.

Dziecko w Polskim ustawodawstwie rodzinnym.

Tezy referatu prof. St. Gołąba.

Państwo jest zainteresowane w istnieniu harmonijnej rodziny i normuje stosunki rodzinne przepisami prawnymi. Przepisy te przybierają coraz bardziej charakter publiczno-prawny. Ingerencja państwa nie może jednak iść za daleko, prowadzić do ucisku jednostki.

Istniejące projekty polskiego prawa rodzinnego przewidują zrównanie w zasadzie dzieci nieślubnych ze ślubnymi pod względem prawnym; dopuszczalność poszukiwania ojcostwa; rozszerzenie na krewnych obowiązków alimentarnych; uniemożliwienie tworzenia majątku rodzinnego, jako odrębnej masy majątkowej, trwale złączonej z rodziną; wyłączenie praw rodzinnych spod właściwości sądów powszechnych i oddania ich Państwowej Władzy Opiekuńczej, instytucji specjalnej z udziałem czynnika społecznego.

Zrównanie prawne dzieci nieślubnych ze ślubnymi było już przewidziane przez prawodawcę Rewolucji Francuskiej. Nie należy się obawiać, że zrównanie to okaże się szkodliwe dla instytucji małżeństwa i rodziny.

Chodzi poza tym o usunięcie mściwego, a niezawinionego przez dziecko nieślubne piętna, będącego objawem antyspołecznym.

Wystawa „Dziecko w Polsce".

Dnia 2 października o godz. 16-tej odbyło się w Warszawie otwarcie wystawy „Dziecko w Polsce" zorganizowanej w związku z Pierwszym Ogólnopolskim Kongresem Dziecka.

Wystawa „Dziecko w Polsce" powstała jako wyraz potrzeby spopularyzowania

w najszerszych rzeszach społeczeństwa tych idei, którym poświęcony jest Kongres Dziecka. Wystawa była otwarta przez cały październik.

d. c. n.

KOMISJA MIĘDZYORGANIZACYJNA OPIEKI NAD MŁODZIEŻĄ.

Nawiązując do artykułu zamieszczonego w Nr. 4 „Rodziny i Dziecka" p.t. „Przysposobienie Wychowawcze", pragnę podzielić się z czytelnikami miłą wiadomością o częściowej realizacji naszkicowanego we wspomnianym artykule projektu propagandy zagadnień wychowawczych wśród społeczeństwa. Realizacja nastąpiła w Wilnie.

Oto z inicjatywy istniejącej już od paru lat w tym mieście Ligi Odrodzenia Moralnego utworzona została Komisja Międzyorganizacyjna Opieki nad Młodzieżą o zadaniach i celach prawie że identycznych z tymi, jakie wysunięte zostały przez autora wspomnianego artykułu. Sformułowane one zostały jak następuje: „Uświadamianie szerokich warstw o znaczeniu społecznym procesu wychowania, wyjaśnianie jaką rolę w tym procesie spełnia środowisko i jaki jest wpływ wychowawczy postępowania każdego pojedyńczego członka tego środowiska, podjęcie zbiorowej, energicznej akcji zmierzającej do zaktualizowania zagadnień wychowawczo - etycznych wśród społeczeństwa za pośrednictwem istniejących w danym środowisku organizacyj społecznych".

Do wspomnianej Komisji weszły takie organizacje jak: „Liga Odrodzenia Moralnego", „Centrala Opiek Rodzicielskich Szkół Średnich", „Zrzeszenie Komitetów Rodzicielskich Szk. Powszechnych". „T-wo do walki z alkoholem", „Mens", „Związek Pań Domu", „T-wo Przyjaciół Dzieci", „T-wo Opieki nad Dziećmi", Koła abstynentów, Harcerstwo i szereg innych w ogólnej liczbie ok. 15.

W pierwszej połowie kwietnia r.b. Komisja zorganizowała pierwszy cykl wykładów pedagogicznych dla rodziców. Wygłoszono ogółem 5 wykładów na tematy następujące: „Kłamstwo dziecięce i walka z nim", „Kara jako środek wychowania", „Nagroda — przykład — przepis i ich rola w wychowaniu", „Swoboda i przymus w wychowaniu". „Autorytet w wychowaniu". Cały cykl wygłosił miejscowy nauczyciel gimnazjalny, dr Antoni Narwoysz. Po wykładach zamiast dyskusji, której nie dało się przeprowadzić ze względu na luźne, różnolite i niezupełnie przygotowane audytorium, prelegent odpowiadał na stawiane mu przez słuchaczy pytania. Na sali urządzona była wystawa najnowszej literatury pedagogicznej.

Zainteresowanie zarówno wykładami jak i wystawą było — jak na miejscowe stosunki — wprost niezwykłe i bez żadnej specjalnej reklamy (rozesłane były jedynie zaproszenia do rodziców) wyraziło się cyfrą słuchaczy od 150 do 300 i więcej oraz ilością zakupionych książek (20). W odpowiedziach na zorganizowaną po skończonym kursie ankietę słuchacze podkreślali korzyści wyniesione z przesłuchania kursu, oraz wyrazili życzenie utrzymania tego rodzaju instytucji nadal, wysuwali nowe tematy, domagali się dyskusji, wykładów o typie seminaryjnym, wskazówek bibliograficznych itp.

Należy też stwierdzić, że ten pierwszy krok dokonany przez Komisję Międzyorganizacyjną w Wilnie w kierunku propagandy zagadnień wychowawczych wśród szerokiego ogółu rodziców (bardzo licznie reprezentowane były szkoły powszechne) zadał kłam rozpowszechnionemu dotąd twierdzeniu, że odczyty i książki treści pedagogicznej nie cieszą się rzekomo powodzeniem. Przeciwnie, zainteresowania jest dużo, wyczucie potrzeby zgłębienia tych problemów i ich żywotności bardzo znaczne. Wszystko zależy od właściwego podejścia organizacyjnego i trafienia we właściwy ton. A to

prawdopodobnie miało miejsce w Wilnie, skoro pierwsza tego rodzaju impreza została uwieńczona niewątpliwym sukcesem.

Leon Metelicki.

KOMUNIKAT.

Z inicjatywy Zarządu Szkół Powszechnych Rodziny Wojskowej w Warszawie, zostały powołane przy szkołach Sekcje Wychowawcze, członkami których, w myśl uchwały ogólnych organizacyjnych zebrań, są wszyscy rodzice dzieci, uczęszczających do szkół i przedszkoli Rodziny Wojskowej. Celem Sekcyj jest podjęcie współpracy ze szkołą w zakresie wychowania i nauczania dziecka przez bliższe zapoznanie się z jego warunkami pracy i możliwościami, wymaganiami szkoły, przez odpowiednie zorganizowanie pracy dziecka, zapoznanie się ogólne z wymaganiami nowej pedagogiki i na tym tle poznanie bliższe i krytyczniejsze własnego dziecka. Do osiągnięcia powyższego celu Sekcje dążą poprzez następujące środki działania: odczyty, zebrania dyskusyjne, wycieczki, rozwijanie zamiłowania do czytelnictwa dzieł z zakresu psychologii i pedagogiki. W r. 1935/36 wygłoszone zostały referaty: 1) rozwój psychiczny dziecka w wieku szkolnym, 2) wskazania wychowawcze w świetle psychologii indywidualnej, 3) zagadnienie dziecka trudnego, 4) czy i jak należy odpowiadać na pytania dzieci. W roku 1936/37: 1) jak i dlaczego należy dbać o powodzenie szkolne dzieci, 2) podstawowe czynniki w nowych metodach nauczania, 3) rozwój fizyczny dzieci i młodzieży z uwzględnieniem rozwoju seksualnego, 4) jak się kształtuje charakter dziecka, 5) dziecko w rodzinie, 6) sprawozdanie z kongresów wychowawczych. W roku 1937/38: 1) o niektórych typach wychowania rodzicielskiego, 2) kara i karność w wycohwaniu (dyskusyjne). Zorganizowane zostały dwie wycieczki: do Instytutu Higieny Psychicznej i Pogotowia Opiekuńczego dla Dzieci. Przy Sekcjach zorganizowane zostały wypożyczalnie książek z zakresu psychologii i pedagogiki, oraz prenumeruje się pisma „Rodzina i Dziecko" i „Współpraca domu ze szkołą powszechną".

Z PRASY POLSKIEJ.

Wynagrodzenie za wychowawstwo.

„Przegląd Pedagogiczny" z dn. 15 października b. r. donosi, że na wniosek p. Ministra W. R. i O. P. Rada Ministrów przyznała nauczycielom szkół średnich państwowych dodatek służbowy za pełnienie czynności wychowawczych. Dodatek ten wynosi na razie dziesięć złotych miesięcznie od jednej klasy.

„Cenimy wysoko inicjatywę p. Ministra" pisze „Przegląd Pedagogiczny", ale... „co trzeba szczerze powiedzieć — uważamy wysokość dodatku za wychowawstwo za... krępująco niską".

Słusznie stwierdza Przegląd, że za taką pracę, wymagającą całkowitego oddania się, nie można ustalić specjalnego wynagrodzenia. „Natomiast trzeba stworzyć dla nauczyciela - wychowawcy takie warunki materialne, aby mógł poświęcić się swej pracy bez troski o jutro dla siebie i swojej rodziny".

Słusznie też w przyznanym wynagrodzeniu widzi „Przegląd Pedagogiczny" symboliczną złotówkę, oznaczającą należytą ocenę przez nasze władze pracy wychowawczej nauczycielstwa", oraz „zapowiedź poprawy bytu nauczycielskiego".

Zaznaczyć tu musimy, że na łamach „Rodziny i Dziecka" nieraz już ukazywały się głosy w przedmiocie polepszenia stanu materialnego nauczycielstwa i ostatnio głos taki odezwał się również w związku z dyskusją o współpracy domu i szkoły.

Ogół rodzicielski z radością wita każdą zapowiedź poprawy w tej dziedzinie i na pewno również z zadowoleniem powita opinię redakcji „Przeglądu Pedagogicznego", która zupełnie zgodnie z naszą opinią stwierdza, że również i *powodzenie pracy w patronatach szkolnych w znacznej mierze zależy od intensywnego udziału w niej wychowawcy* i od jego współpracy. *Najmniej sprawnie funkcjonujący zespół rodziców doświadczony wychowawca potrafi skierować na właściwe tory*, pozyskać dla szkoły i zapalić do spraw wychowania młodzieży.

Oto słowa, stanowiące najlepsze zakończenie i przypieczętowanie dyskusji, którą wszczął „Przegląd", a która tak żywe znalazła echo w świecie rodzicielskim i wśród nauczycielstwa. Powodzenie akcji współpracy domu i szkoły w znacznej mierze zależy od nauczyciela. On przecież jest gospodarczem w szkole, rodzice zaś tylko gośćmi. On więc nadaje ton i charakter całej współpracy. A czyż może się podjąć tego ciężkiego zadania, gdy nie ma na nie ani czasu, ani sił?

Dalsze echa dyskusji o współpracy domu i szkoły.

Wciąż jeszcze napływają nowe głosy w sprawie tego wielce aktualnego zagadnienia. „Przegląd Pedagogiczny" z dn. 15 października b. r. zamieszcza w tym przedmiocie dwa artykuły. Jeden, to głos nauczyciela, drugi — głos przedstawiciela opinii rodzicielskiej.

Patronaty czy „matronaty".

Nauczyciel, p. A. Kłodziński, występuje wyraźnie przeciwko patronatom, (nie przeciwko Kołu Rodzicielskiemu), stwierdzając, że jest wyrazicielem opinii jednego z liczniejszych Kół TNSW (11 szkół średnich ogólnokształcących i zawodowych).

Dowiadujemy się, że Patronaty w języku nauczycielskim nazywają się powszechnie m a t r o n a t a m i, że na posiedzenia patronatów klasy przybywa zaledwie 10% rodziców (z początku przychodzi więcej, ale odrazu się zniechęcają, że uczestniczą w patronatach tylko matki, i to takie, które mają dużo czasu i lubią się „zabawiać w jałowe gadulstwo".

Dalej dowiadujemy się, że Patronaty mają w swym założeniu cel oświatowo pozaszkolny, i to nie cel bynajmniej samokształcenia rodzicielskiego w dziedzinie pedagogiki i psychologii dziecka, a cel „wychowania państwowo-twórczego miejscowego środowiska za pośrednictwem szkoły". Ale „dzisiejsza szkoła zaczyna na szczęście rozumieć, że celem jej zabiegów wychowawczych nie mogą być najbardziej aktualne i modne sprawy", lecz wartości nieprzemijające. Oto rewelacyjne interpretacje celów Patronatów, które na pewno zadziwią niejednego z najgorliwszych pracowników w tej dziedzinie.

Dowiadujemy się dalej również, że cała praca Patronatów polega na prowadzeniu papierowo-formalnej akcji i wypisywaniu papierowo formalnych sprawozdań, i że właściwie nie mają co robić na swoich posiedzeniach.

Wreszcie dowiadujemy się, że „oprócz niektórych zawodowych społecznic wszyscy rodzice, zwłaszcza mężczyźni, uważają patronaty za bezcelowe.

Tak, to są wiadomości rewelacyjne. Może nawet warto byłoby przeprowadzić ankietę, jak te sprawy wyglądają w poszczególnych Kołach i Patronatach w całej Polsce, żeby móc dyskusję prowadzić na danych naprawdę objektywnych, i żeby nikt nikomu nie zarzucał gołosłowności, czy zbyt pochopnych uogólnień.

Kto ma nauczyć?

W artykule pod tytułem powyższym w „Kurierze Porannym z dn. 4. X. r. b. rozważa p. H. Szyllerowa doniosłe zagadnienie pracy domowej ucznia. Zdumiewa ją obojętność, jaką zaobserwowała na pewnym zebraniu nauczycieli szkół średnich w odniesieniu do tej sprawy. „Uczeń ma się uczyć i tyle!” — oświadczył jeden z nauczycieli.

Ale rzecz w tym jak się uczy. Dziwny to objaw, pisze autorka artykułu, iż szkoła, która ostatnio zaczęła dosyć gwałtownie bronić się przed ingerencją domu w swoje sprawy, która nawet coraz głośniej mówi o „supremacji” domu i twierdzi, że dom ograniczyć się winien w swojej współpracy z nią wyłącznie do pomocy i wypełniania jej wskazówek, jednocześnie skłonna jest czuwanie nad domową pracą ucznia powierzyć całkowicie — domowi.

Interesujące swoje i aktualne rozważania kończy autorka tymi słowy: Uczeń może mieć mniej lub więcej wiadomości, ale musi u m i e ć s i ę u c z y ć. I tego musi go nauczyć s z k o ł a. Rodzice mogą w tym jedynie dopomagać.

Poradnia szkolna.

W Krakowskim „Głosie Narodu” z dn. 8 paźdz. p. L. Skoczylas porusza potrzebę założenia dla rodziców, ktorzy nie wiedzą dokąd skierować dziecko, specjalnej poradni szkolnej.

Myśl to bardzo słuszna i przyklasnąć jej należy. Autor artykułu zastanawia się jednak nad tym, z czyjej powinno się to stać inicjatywy: czy władz szkolnych, jeśli ma to być instytucja urzędowa, czy też Kuratorium, w porozumieniu z nauczycielstwem i patronatami rodzicielskimi, jeśli ma to być instytucja półurzędowa.

Gdyby zaś miała ją stworzyć inicjatywa prywatna, niezbędne byłoby określenie opłaty, którą uiszczaliby z góry petenci za udzielaną poradę.

Nie w jednym tylko Krakowie przydałaby się taka poradnia! W zakresie szkół zawodowych zadanie informowania rodziców spełnia Stowarzyszenie Nauczycieli Szkół Zawodowych, Żórawia 9, to samo również zadanie spełniają wszystkie poradnie zawodowe, ale tylko dla absolwentów szkoły powszechnej (lub gimnazjum, w wyjątkowych wypadkach). Potrzebna byłaby taka poradnia, która mogłaby po prostu informować rodziców we wszystkich sprawach, związanych z organizacją, możliwościami i wymaganiami naszego tak zróżniczkowanego szkolnictwa.

Nieporozumienie.

Wyraziciel opinii rodzicielskiej na łamach „Przegl. Pedag.” p. Kazimierz Kiersnowski stwierdza, że poparcie szkoły bez reszty przez rodziców bynajmniej nie jest dowodem ich dojrzałości wychowawczej, jak również z drugiej strony patent ze studiów

pedagogicznych nie daje jeszcze „ani zdolności wychowawczych, ani nawet umiejętności sztuki wychowywania".

Brak naukowego przygotowania wychowawczego rodziców również nie musi koniecznie iść w parze z praktyczną niekompetencją wychowawczą.

Słusznie też kończy artykuł swój p. Kiersnowski stwierdzając, że kto „sądzi, że jedynym środkiem na usunięcie niedomagań obecnych we współpracy i obroną przed nietaktami poszczególnych rodziców jest zaprzestanie samej współpracy, ten w ogóle do zagadnienia wychowania podchodzi niewłaściwie".

Dalsze echa dyskusji w prasie codziennej.

W „Kurierze Warszawskim" z dn. 8 paźdz. b. r. p. prof. Z. Łempicki stwierdza, że trudności we współpracy wychodzą zarówno ze strony szkoły jak i ze strony domu, i że „cokolwiekby sądzić o tonie artykułu p. Chirowskiego, uznać wypadnie, że przez wyjaskrawienie, a nawet przejaskrawienie całego zagadnienia, wywołał nową falę dyskusji, która okaże się niewątpliwie pożyteczna dla obu stron zainteresowanych, przede wszystkim jednak dla dobra szkoły".

W „Kurierze Poznańskim" z dn. 24. września b. r. p. Stanisław Rymar, zabierając głos o współpracy domu i szkoły, dopomina się o więcej szczerości i zaufania. I to zarówno w stosunkach między młodzieżą a nauczycielstwem, jak i w stosunkach między nauczycielstwem a rodzicami.

I jak to widzimy z artykułu o „Matronatach" ma słuszność na całej linii.

Zachowanie i wychowanie.

Pod tym tytułem omawia „Kurier Warszawski" z dn. 8.X. b. r. niewłaściwe zawanie młodzieży szkolnej, zwłaszcza męskiej, bawiącej w ciągu wakacji w gościnie zagranicą. Wykazywała ona brak tego, co zwą „eine gute Kinderstube", a przecież była to przeważnie młodzież z t. zw. „dobrych" domów.

Ale, dodaje artykuł, wystarczy pójść do teatru na przedstawienie szkolne, żeby zobaczyć b. niewłaściwe zachowanie młodzieży męskiej, która rzuca na koleżanki „pestki, papierki od cukierków" a przy wyjściu pcha się do garderoby, brutalnie potrącając czy odpychając panienki.

„Zapobieżenie temu leży przede wszystkim w rękach domu. To jest wielka i poważna dziedzina wychowawcza rodziców".

Niedawno opisywano na łamach naszego pisma brzydkie zachowanie się młodzieży męskiej w tramwaju.

Niestety, za objawy brutalności, schamienia i zdziczenia dom jest w dużej mierze, choć może nie całkowicie, odpowiedzialny przez nadmierne rozpieszczanie, przez wyróżnianie synów w stosunku do córek i wiele podobnych błędów wychowawczych.

O poziom wychowawczy szkoły.

W artykule pod powyższym tytułem w „Przeglądzie Pedagogicznym" z dn. 15 paźdz. b. r. zastanawia się p. Z. Kaczmarek nad przeszkodami, jakie napotyka szkoła w swej

pracy wychowawczej, i stwierdza że „źródła wzrostu niekarności i obniżania się poziomu moralnego tkwią korzeniami swymi głęboko w ogólnym kryzysie kultury, w ogólnym zdeprecjonowaniu bezwzględnych wartości moralnych, w bezkierunkowości i chaosie idei i dążeń społecznych, w upadku, względnie osłabieniu wpływów wychowawczych w rodzinie, w braku właściwej podstawy wychowawczej w społeczeństwie".

Autor widzi jednak jeszcze inną kategorię przyczyn paraliżujących, względnie osłabiających możliwości wychowawcze szkoły.

1) Brak jasnych i zdecydowanych przepisów odnośnie do tego, co wolno, a czego nie wolno młodzieży. Z tym wiąże się sprawa sankcji, które nie są ani ustalone wyraźnie, ani też — z różnych powodów — skuteczne. Tu autor dodaje: „Formy życia społecznego wracają dziś coraz bardziej do zasad autorytatywności i rygoryzmu, a szkoła która by się tym zasadom sprzeciwiała, do życia nie przygotowuje".

2) Niejednolitość sankcji stosowanych w tych samych sprawach w różnych środowiskach.

3) Przystosowanie programu wychowawczego do konkretnych sytuacji i do realnych możliwości, zamiast przeładowania go nadmiarem postulatów i zamierzeń, które zeń czynią „pięknie opracowaną fikcję".

4) Niepowołana ingerencja czynników postronnych. Autor ma tu na myśli działalność jednostek wzgl. ugrupowań, szczególniej politycznych, od których jednak dziś, na szczęście, okólniki i rozporządzenia władz chronią szkołę w pewnej mierze, co nie wyklucza potrzeby ciągłej czujności ze strony nauczycielstwa.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

Klimat rodzinny.

André Berge 2 „Education" (wrzesień r. b.) omawia interesujący artykuł dra Pichon, który w jednym z naukowych czasopism pediatrycznych francuskich pisze o roli rodziny w rozwoju uczuciowym i moralnym dziecka.

Dr Pichon stwierdza, że źle się dzieje temu dziecku, którego rodzice nie kochają się nawzajem prawdziwą miłością. Kobieta, która mówi: „owszem, kocham mego męża, ale jestem przede wszystkim matką", nie wie, że dla dobra zdrowego rozwoju psychicznego dziecka potrzebna jest atmosfera miłości małżeńskiej. Twierdzenie swoje opiera ten lekarz na długoletnim doświadczeniu klinicznym. „W rozwoju uczuciowo-moralnym dziecka ojciec i matka działają nie tylko przez to czym są, ale również przez rolę, jaką wyobrażenie o nich, (ich Imago, w języku Freudowskim), odgrywa w myślach i uczuciach dziecka".

André Berge dodaje: „życia małżeńskiego, ani uczuć ludzkich zmienić nie można dekretem. Jednak wyobrażenie, czyli Imago ojca i matki takich, jakimi być powinni dopomoże niewątpliwie niektórym rodzicom, chwiejnym w swym nadstawieniu psychicznym, do odegrania tej roli, która im przypada".

Pozwólcie swym dzieciom dorastać.

W ostatnim numerze „Psychology" (listopad r. b.) Rev. G. Needham pisze o rodzicach dorastającej młodzieży, którzy się nad miarę i bez potrzeby niepokoją o mło-

dzież, pragnącą większej swobody, albo znów nieszczerze wmawiają wszystkim, że ufają swoim dzieciom, aby potem, gdy zdarzy się tragedia, lamentować, że syn czy córka „zawiedli ich zaufanie”.

To raczej rodzice zawiedli zaufanie dziecka, bo powinni je byli znać, lepiej i rozumieć lepiej, zanim dorosło.

Jeśli już zagraża poważne niebezpieczeństwo, trzeba się wtrącić, ale trzeba to uczynić z jak największym sensem.

Rodzice, którzy bez przerwy zrzędzą na swe dorastające dzieci, pchną je prawdopodobnie właśnie ku temu, czego najbardziej się obawiają, a czego i dziecko pragnęłoby uniknąć.

Rodzice, którzy nieustannie „nosem kręcą” na różne drobne wykroczenia młodych, potrafią przeistoczyć ukrytą skruchę dziecka w jawny, wyzywający bunt. Młodzi zaczynają popisywać się tym, czego się pierwotnie wstydzili.

Młodzież musi mieć swobodę. Jakże się inaczej nauczy panować nad sobą? Młodzież dzisiejsza nie jest ani lepsza, ani gorsza niż dawniejsza. Poprzednie pokolenie zawsze ubolewało i ubolewać będzie nad „upadkiem” pokolenia nowego.

CHŁOPCY.

c. d.

Marek ma obecnie lat piętnaście.

Do niedawna jeszcze był ślicznym chłopcem; ładnie zbudowany, smukły, o subtelnych rysach twarzy i delikatnej cerze, czarował wszystkich swoją urodą. Matka jego, młoda jeszcze kobieta, dumną była ze swego syna. Ona sama wyglądała raczej na panienkę i często brano ich za rodzeństwo. Zachwycano się nimi.

Marek był łagodnym chłopcem, miłym w obejściu, uprzejmym.

Tak było do niedawna. Teraz jest zupełnie inaczej.

Przede wszystkim strona fizyczna: co się z tym chłopcem stało!

Okropność jak wygląda. Przecież to żóraw nie człowiek.

Zupełnie małpie ręce! Tak długie, że sięgają mu prawie do kolan (tak twierdzi jego mamusia, która nawiasem mówiąc, zawsze trochę przesadza). Do tego jeszcze dodać należy, że chłopak garbi się niemożliwie, przy tym chodzi niezdarnie. Nigdy prosto, tylko pod ścianami się przesuwa.

Musi opierać się o wszystkie poręcze. Ręce — to zwisają mu bezwładnie, to znów, gdy chce uczynić nimi jakiś ruch, powiewają w powietrzu niby skrzydła wiatraka.

Na twarz matka wcale nie może patrzeć. Wstydzi się, że nie może zapanować nad sobą, ale płakać się jej chce, gdy spojrzy na syna. Czyż podobna by rysy twarzy mogły tak się zmienić.

Skąd wziął się u niego tak długi nos? Nikt w rodzinie takiego nie ma. Zaczerwieniony, gruby, ogromny zakrywa prawie całą twarz. Oczy straciły dawny blask, stały się matowe, bez wyrazu. Czasami wydają się jakby wystraszone. W ogóle wyraz twarzy taki, jakby chłopiec bał się kogoś, albo miał coś ciężkiego na sumieniu. Włosy dawniej puszyste, faliste, teraz pełne łupieżu, zatłuszczone, proste. A cera? — Krosta przy kroście i błyszczy jak patelnia.

Tak, wstyd, a jednak matka sama

przyznaje się do tego zarówno najbliższej rodzinie, jak i obcym — znajomym: krępuje się gdziekolwiek pokazać z synem.

Ona przecież taka jest wrazliwa na estetykę wyglądu! Tak sama dba o siebie, chcąc ładnie wyglądać.

O ubraniu syna przyzwoicie, teraz, nie może być mowy!

Nie może przecież sprawiać mu stale nowego ubrania. Marek rośnie tak szybki, że rękawy po kilku miesiącach okazują się stanowczo za krótkie, a nogawki od spodni sięgają łydek.

Czyż możliwym jest, by z takiego ładnego chłopaka wyrastał taki potwór?

Matka Marka jest bardzo impulsywna i może niezupełnie delikatna. Przyzwyczaiła się zawsze mówić głośno to, co myśli.

Powtóre, piękna kobieta, jedynaczka, pieszczona w domu przez rodziców, potem przez męża, może trochę nieuważna, nie biorąca pod uwagę uczuć innych, nie przypuszczała nigdy, że jej uwagi mogą ranić syna. Nigdy jej to przez myśl nie przeszło. I jakoś tak się stało, że już dawno nie miała ochoty popieścić go, pocałować. Zresztą ta twarz okropna!

A może te krostki są zaraźliwe? Jeszcze by tego brakowało, żeby ona dostała takich wyrzutów na twarzy. Rzeczywiście, teraz, kiedy rozmyśla, to zdaje sobie sprawę, że nie przytuliła go do siebie już od wielu, wielu miesięcy. I nagle robi się jej przykro i żal go jej. Przecież to był taki pieszczoch, taki do niej przywiązany! I zresztą co on winien, że tak zbrzydł. Matka usprawiedliwia się sama przed sobą, że Marek też nie jest teraz taki sympatyczny jak dawniej. Właściwie to nie zasługuje ani trochę na to by go faworyzować teraz. Kilka miesięcy temu, kiedy mu zwracała uwagę na niezgrabne ruchy, na podrapaną twarz, gdy strofowała go za gapiowate spojrzenie, czerwienił się, spuszczał głowę, czasami mruknął coś pod nosem. A jeżeli wzruszył ramionami, to patrzył zaraz niespokojny, jak ona zareaguje na jego lekceważący ruch. Na razie rzeczywiście nic nie mówiła, wolała udać, że nie widzi jego niecierpliwych gestów. Jednak może to nie było dobre, bo zaczął rozzuchwalać się coraz bardziej. Na każde jej słowo znajduje odpowiedź. W dodatku rzuca jej niekiedy tak nienawistne spojrzenia, że aż jej straszno.

Jego opryskliwość, zły humor, zwróciły też uwagę ojca.

Zapytał raz, co mu się stało, dlaczego taki nadąsany. Nie odpowiedział, a zerwał się od stołu i uciekł do swego pokoju zatrzaskując za sobą drzwi. Ojciec tak był zaskoczony wybuchem syna, że nawet nie zareagował. Innym razem, gdy chłopak odburknął niegrzecznie matce, ojciec krzyknął ostro — „milcz, błaźnie!". Nigdy przedtem nie odzywał się tak do syna.

Raz zaszła przypadkowo do pokoju chłopca. Była to pora, w której zwykle spał. Tym razem było inaczej. Płakał. Łkania wstrząsały całą jego postacią. Serce matki ścinęło się. Podeszła szybko chcąc go pocieszyć i utulić jak dawniej. Ale Marek szarpnął się tylko i zawołał, by odeszła i zostawiła go samego. Była głęboko urażona. Pomyślała, że pewnie martwi się stopniami, gdyż ostatnio nauka szwankowała. Nie przypuszczała nigdy, że jej postępowanie, brak zrozumienia z jej strony może być przyczyną głębokiego smutku dziecka.

Jadwiga Jasnorzewska.

OBRAZKI Z ŻYCIA.

Szkoła N. ma bardzo piękny gmach, urządzony z całą troskliwością i dbałością o wygodę dzieci. Jest w niej śliczna kaplica, w której niedawno odbyła się spowiedź powakacyjna i Komunia św. Podczas uroczystości religijnych atmosfera szkoły jest specjalnie podniosła i ogólne nastawienie sprzyja, aby wszystko wypadło możliwie najlepiej.

Otóż w szkole tej na Mszę św. w

dzień Komunii św. bardzo dużo dziewczynek spóźniło się, a rzecz szczególna, że spóźniły się te, które przyszły z matkami. Wśród rozmodlonej ciszy przepychały się zdyszane matki popychając córki ku ołtarzowi, nierzadko potrącały przy tym klęczące koleżanki robiąc moc szumu i zamętu. Jedna z dziewczynek ledwo zdążyła przystąpić jeszcze do Komunii św., gdyż przyszła z matką w chwili, gdy ksiądz wracał do ołtarza rozdawszy już wszystkim komunikanty.

Spóźnialskie zakłócały dostojny spokój kaplicy, przeszkadzały w modlitwie, następnie mamy, ledwo jej córa wstała z klęczek od ołtarza, już ciągnęły ją do ławki, by wtykać jej w usta odwijane z bezceremonialnym szelestem papierków wafelki, ciasteczka i czekoladki w śmiertelnej trwodze, aby dziecinka nie zemdlała z głodu. Dodać należy, że ta w najwyższym stopniu nietaktowna i męcząca zapobiegliwość była zupełnie zbędna, bowiem szkoła w trosce o zdrowie dziewczynek przygotowała dla wszystkich gorące śniadanie, o czym rodzice byli przedtem powiadomieni.

Same „dziecinki” były mocno skonfundowane ostentacyjnym szmerem sreberek od czekolady i zapłonione otwierały usta by prędzej i nieznaczniej zjeść ten n i e o d z o w n y p o s i ł e k, mający podtrzymać ich nadwątlone siły przez... kilkanaście minut dzielących je od wspólnego śniadania.

*

W szatni szkolnej rozparta wygodnie na krześle siedzi rumiana, wprost można by powiedzieć doskonale wypasiona dziewczyna, a matka klęcząc sznuruje jej buty. Przechodząca wychowawczyni, która wie, że matka jest po ciężkiej operacji, po której nie wolno jej się schylać, zaniepokojona zwraca jej uwagę. Matka jest wyraźnie niezadowolona, że ktoś obcy wtrąca się do jej spraw, mruga porozumiewawczo mówiąc: „mała nie potrafi tego zrobić tak dobrze jak ja, proszę pani”.

Do szkoły Z. idzie się od tramwaju przez łączkę, którą widać z okien gabinetu dyrektora. Niedawno dyrektor dzielił się z nami spostrzeżeniem, że co rano widzi matki odprowadzające swych chłopców do szkoły i dziwi się czemu niosą same teczki synów, podczas gdy chłopcy kroczą obok nich dumni, wspaniale odżywieni, rumiani, uosobienie zdrowia i tężyzny. Jeśli chodzi o względy higieniczne, żeby się chłopiec nie skrzywił od noszenia teczki, to niechże mu kupią tornister.

— — — — — — — — — —

Dziwimy się i nie rozumiemy, skąd z tych naszych rozkoszniaczków i anioleczków wyrastają potem tacy niedobrzy ludzie, tacy egoiści. Czyż właściwie powinno nas to tak bardzo dziwić, gdy tak troskliwie pielęgnujemy i rozwijamy ich egoizm. Te przykłady to drobiazg, ale jakże charakterystyczny...

*

W kinie siedzą państwo z dziewczynką około szesnastu lat, modnie i wykwintnie ubraną, w ślicznych pantofelkach na wysokich obcasach i kokieteryjnym kapelusiku, spod którego widać misterne uczesanie. Jeden rząd przed nimi siedzą dwie uczennice w granatowych płaszczach z tarczami na rękawach, w szkolnych beretach. Pani z widocznym niesmakiem porównuje ich skromne, szkolne ubranie z wykwintną tualetą swej córki i spoglądając znacząco na męża mówi z przekąsem: „Nie rozumiem jak można tak ubierać swoje córki. Ja mam już dosyć ofiary, że znoszę ten mundur i to berecisko do szkoły. Za to zaraz po szkole nasza Haneczka jest nie do poznania. W ogóle dość mam piętna szkoły. Jak można tak szpecić dziewczęta. W ogóle grzechem jest niszczyć czar kobiety choćby w najmłodszym wieku! — dodaje z oburzeniem.

„IKS”.

RODZINA I DZIECKO

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WYCHOWANIA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ ORAZ WSPÓŁPRACY DOMU I SZKOŁY

Redaktor i Wydawca: JANINA RENDZNEROWA

Prenumerata wynosi: kwartalnie (3 zeszyty) — zł. 2.40
rocznie (10 zeszytów) — zł. 7.50

PRENUMERATA ULGOWA DLA KÓŁ RODZICIELSKICH

opłacających prenumeratę zbiorową
od 10 egz. miesięcznie — 70 gr. za egz.
od 20 egz. miesięcznie — 60 gr. za egz.

Cena numeru pojedyńczego 1 zł.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Zakopiańska 31, tel. 10.05-11
(godz. 8 — 10 i 16 — 17). Konto P. K. O. 14020
Konto pocztowe do przekazów rozrachunkowych 732

Zgłoszenia osobiste w sprawach redakcji i administracji Świętokrzyska 30 m. 8, tel. 6.40-53, w poniedziałki, środy i piątki w godz. 13 — 14

Prenumeratę przyjmują również wszystkie większe księgarnie.

Rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca; prace winny być pisane na maszynie na jednej stronie arkusza

Zakłady Graficzne „DRUKPRASA", Warszawa, Nowy Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.